Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 4 kwietnia 1937 r. Nr. 14



NIE WIEM TYLKO...

Wiem, że słońce wkrótce znowu
Listki brzozy poroztula
I zakwitną znów w parowie
Pierwszych kwiatów złote kule.

Wiem, że znowu gdzieś pod krzakiem
Ptaki gniazda swe uścielą,
Że na błoniu hen dalekim
Pastuch wznowi swoje trele.

Wiem, że wróci, co odeszło,
Co umarło się odrodzi,
Choć godziny wzlotów, zmierzchów,
Znowu pomkną, jak mkną co dzień...

Nie wiem tylko, czy te oczy,
Co płakały smutnie w cieniu,
Znów ożywi świat uroczy,
Czy je słońce rozpromieni.

Nie wiem tylko, czy to serce,
Co tęskniło długo, długo,
Zadrży szczęścia choć iskierką,
Jak słoneczkiem ciche strugi.

Nie wiem tylko, czy ten człowiek,
Co samotnie drogą kroczy,
W swych marzeniach, myślach, słowach,
Z wiosną cudną się zjednoczy.

M. Z.



WOJCIECH HOLM

25)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Po drodze pytał o różne rzeczy, albo bardzo mało ważne, albo, jak się Sylwii zdawało, wcale nie należące do sprawy odszukania Wernera, ale w dalszym ciągu rozmowy przekonała się, że nie powiedział ani jednego niepotrzebnego słowa i uczuła wielki szacunek dla tego niepozornego człowieczka.

W krótkim czasie znaleźli się w pobliżu obozu Cyganów i zobaczyli Ignacego, rąbiącego drzewo.

Sylwia skinęła na niego ręką, aby się zbliżył i rzekła:

— Słuchaj Ignacy, ten pan jest malarzem i chce namalować Czartowski Jar. Znasz może kogo, który by mu jutro zaniósł sztalugi i farby do Felseg za dobrą zapłatą.

— A co pani nazywa dobrą zapłatą? — zapytał chytrze chłystek.

— Dobrą zapłatę za tak dobrą usługę, nazywam guldena.

— I ja także! — odpowiedział młody Cygan zadowolony.

— No, masz więc kogo? — spytała Sylwia.

— Tak jest — odpowiedział Cygan z godnością — zrobi to syn mojej matki. A gdzie ten pan jest? Czy w gospodzie?

— Na razie mieszka w leśniczówce — odrzekła Sylwia.

— A zatem zgoda — rzekł Mehlhose — przyjdziesz po mnie jutro rano o ósmej.

Cygan wyciągnął rękę po zadatek.

— Dostaniesz jutro — odpowiedział mu agent z zimną krwią.

— Cygaro! — prosił Ignacy bezczelnie.

Aby go się pozbyć, rzucił mu agent dwa cygara i zawołał:

— Więc punktualnie o ósmej rano.

— Jeżeli mam być punktualny — odpowiedział złośliwie młody Cygan — to musi mi pan pożyczyć zegarek.

Gdy wracali, rzekł agent:

— Wie pani, że ten Ignacy ma także nieczyste sumienie, on też patrzy na panią, jak gdyby coś przeskrobał.

— To chyba dlatego, żeśmy go zastali przy ścinaniu gałęzi, co jest zabronione.

Podejrzenie agenta nie ustąpiło, ale nic już nie mówił. Tylko po chwili rzekł:

— Ta gruba dziewczyna, która usługuje przy stole, podsłuchuje pod drzwiami. Kto podsłuchuje, ten umie robić plotki. Musimy być ostrożni. Zdaje mi się zresztą, że już zorientowałem się w sytuacji. Czy pani wie dokładnie o tym, że hrabia w dzień wyjazdu z Königswalden nie miał większej sumy przy sobie?

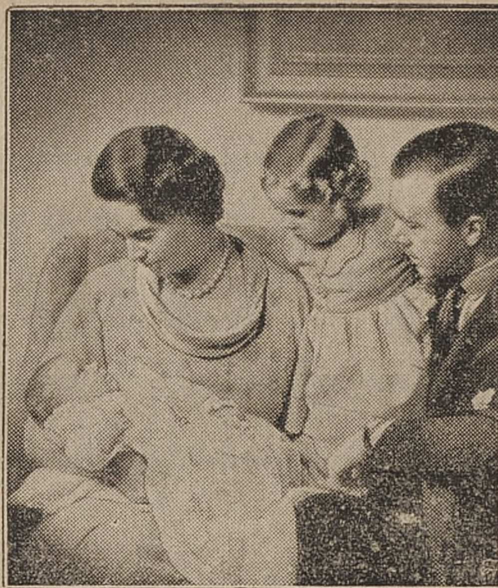
— Przypuszczam, że wyjeżdżając do Felseg, nie potrzebował pieniędzy.

— A może miał jakie kosztowności?

— Tak, miał pierścień z dużym diamentem, złoty zegarek i ciężki złoty łańcuch z bardzo kosztownymi wisiorkami. Na zegarku był jego monogram.

— Hm — mruknął agent.

Resztę drogi spędzili już w milczeniu.



Zdjęcie nasze przedstawia szwedzkiego następcę tronu Gustawa Adolfa, żonę jego — księżnę Sybillę i córeczkę — księżniczkę Małgorzatę, pochylonych nad maleńką księżniczką Birgittą, najmłodszą córeczkę książęcej pary.

ROZDZIAŁ XCV.

Markiz de Lorme był ciężko chory i życie swe zawdzięczał właściwie tylko troskliwej opiece Idy.

W gorączce zdawało mu się nieraz, że jakiś kot, przebrany za kobietę, przychodzi do pokoju, niepokoi go, chce się rzucić na niego i zadusić. To znów zdawało mu się, że anioł czuwa przy jego łóżku i wtedy szepcąc słowa gorącej podzięki, całował go w rękę.

Nareszcie odzyskał przytomność.

Oczyma okolonymi sinymi, obwódkami wodził po skromnym, ale bardzo czystym pokoju.

Na plecionym krześle siedziała przy nim młoda, bardzo piękna dziewczyna. Długie rzęsy padały cieniem na jej białą twarz, a spokojny oddech dowodził, że śpi.

— Ach, to ten anioł, który mnie pielęgnował w czasie choroby — pomyślał chory.

Patrząc na nią z miłością i uwielbieniem, podniósł się, chcąc ucałować jej ręce, gdy usłyszał nagle na korytarzu szybkie kroki, które go zdenerwowały i przeczuł, że zbliża się kot, którego widział w czasie choroby — pani Hai.

Chcąc uniknąć z nią wszelkiej rozmowy, zamknął oczy.

Aptekarzowa otworzyła drzwi i zobaczywszy Idę śpiącą, wydała gromki okrzyk.

Potem podeszła do śpiącej Idy, po grubiańsku schwyciła ją za ramię i potrząsła nią.

Wtedy markiz zawołał z groźnym wyrzutem:

— Ależ pani!

— Ach! jakże się cieszę! — zawołała pani Hai, przybrawszy szybko łagodną minę — że pan już przytomny. Dzięki Bogu!

Tymczasem Ida się zbudziła.

Nie chcąc, aby odgadł jej stosunek do Idy, zaczęła aptekarzowa rozczulać się nad nią:

— Biedaczka, aż pobladła od tych nocnych przesiadywań. Dziś musi pójść do Prateru na spacer, a ja ją zastąpię.

Słowa te wypowiedziała najczystszym wiedeńskim dialektem, którego jednak Francuz nie rozumiał.

Spojrzał trwożnie na Idę, która mu przetłumaczyła słowa pani Hai.

Chory westchnął.

Widocznie myśl o tym, że go ta piękna dziewczyna opuści, była dla niego bardzo przykra.

Nie pytał się, w jaki sposób tu się dostał, tylko czy ona odchodzi na długo.

— Co on mówi? — spytała pani Hai — może co o mnie?

Ida przetłumaczyła słowa jego pani Hai, która powiedziała bardzo płynnie:

— Hm, widzi pan, ta biedna dziewczynka musi odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Zresztą syn mój, Teobald, najchętniej widzi ją obok siebie.

Idusiu, idź się przebrać, Teobald kupił ci kapelusz, taki ładny, jakiego ja sama nigdy nie miałam, żakiet, suknię i trzewiki. Będziesz wyglądała, jak hrabina!

Ida poczerwieniała i zadrżała, jak listek.

— Skąd Teobald przychodzi do tego, aby jej robić prezenty?

Od śmierci matki nie miała nigdy nowej sukni. Nawet żałobną suknię przerobiono jej ze sukni pani Hai. W szkole zawsze była źle ubrana tak że ją nazywali kopciuszkiem.

— No, idź już! — nalegała aptekarzowa — bo Teobald czeka.

— Jakto z panem Teobaldem mam iść? — spytała zaniepokojona Ida.

— Ależ naturalnie! — odpowiedziała aptekarzowa. Powiadam ci, on się pali bez ciebie.

Ida stała jeszcze, nie wiedząc co począć ze sobą, ale aptekarzowa wypchnęła ją za drzwi.

Markiz tak był tym oburzony, że siły znów go opuściły i jęcząc padł na poduszki.

Ida rzeczywiście znalazła w swoim pokoju niebieską suknię, taki sam żakiet i kapelusz z piórami. Obok łóżka stała para zgrabnych pantofelków.

Za nią wsunęła się do pokoju Hania.

— Jezus Maria — szepnęła tajemniczo Idzie — ależ panicz kłócił się ze starymi! Przyszłam panience pomóc ubierać się. Panicz narobił podobno wielkich długów, a najwięcej starego złościło to, że pożyczał także u aptekarza, od którego pan sprowadza towary.

— Cicho, to nie wypada, abyś mi opowiadała takie rzeczy.

— Boże mój! Jeżeli panienka ma wyjść za panicza, to musi wszystko wiedzieć. Stary bardzo się złościł, gdy mu panicz powiedział, że chce się z panienką ożenić. Dopiero, gdy mu panicz coś szepnął do ucha, uspokoił się i nic już nie mówił. Nie złościł się nawet wtedy, gdy panicz zażądał sto reńskich, tylko powiedział:

— A może byś chciał wszystko, co posiadam?

Lecz panicz na to pytanie roześmiał się i powiedział:

— Na razie potrzebuję sto reńskich, a gdy będę potrzebował więcej, to się znowu zgłoszę.

Ida włożyła na siebie nową suknię, z której Hania więcej się cieszyła, niż ona sama.

— Ja sama dawałam paniczowi miarę dla krawcowej. Ależ panience w niej ładnie! Teraz dopiero widzę, jaka panienka ładna. Już to nasz panicz ma dobry gust.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

— Panienka idzie już — wrzeszczała Hania, pełna emocji, jak gdyby to o nią chodziło. — Prędzej, niech panienka wkłada żakiet.

Pomogła jej włożyć narzutkę i mierząc ją od stóp do głowy zobaczyła, że ma na nogach stare, niezgrabne trzewiki.

— Jezusie święty! — krzyknęła — o włos, a byłaby panienka wyszła w tych starych czółnach na ulicę. Co za wstyd! Niech panienka siada, zdejmę te klapcie i nałożę nowe trzewiki.

Wkładając Idzie buciki, zawołała:

— Jak Boga kocham! Te jeszcze są za duże! Dalibóg, można by się zakochać w samych nóżkach panienki!

To mówiąc, ku wielkiemu niezadowoleniu Idy, otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju, tak, że Teobald mógł zaglądać.

— Cóż, moja laleczko, gotowa? — spytał Teobald, pożerając ją oczyma.

Podał jej ramię.

Przyjęła je, obawiając się jego ordynarności, którą zapewnie odziedziczył po rodzicach.

— Ach, aniołek nie ma rękawiczek! — zauważył.

Ida znowu poczerwieniała.

— A może wcale nie masz rękawiczek? — spytał słodziutkim tonem, który wobec dzieci przybierają nie raz donośli ludzie.

— E, gdyby rękawiczki nie kosztowały tyle pieniędzy — wtrąciła się Hania do rozmowy — to by je panienka może miała, ale tak to nie ma.

— Nic nie szkodzi. Obok jest skład z rękawiczkami, jakoś temu zaradzimy — rzekł Teobald.

To mówiąc, bez ceremonii wziął zakłopotaną dziewczynę pod ramię i wyprowadził na ulicę.

Z okna apteki patrzyło za nimi kilka par ócz, a między innymi zagniewane prowizora.

Jeden z laborantów zaczął wyrażać zdziwienie, że stary pozwala żenić się synowi z zupełnie biedną Idą.

— Milcz, durniu! — zawołał prowizor zły, że plany jego zostały pokrzyżowane, idź lepiej do swojej roboty, próżniaku!

Wszyscy mieszkańcy spod „Złotego anioła" wiedzieli o tym, że Teobald powiedział ojcu o swoich zamiarach względem Idy, a to dzięki plotkarstwu Hani. Nie była to więc miłostka, na którą zresztą aptekarz bardzo zważający na pozory, nie byłby pozwolił, nie najpoważniejsza w świecie rzecz. Nikt również nie wątpił w to, że Ida bez namysłu zgodzi się na małżeństwo.

Piękne sny prowizora rozwiały się. Sumował właśnie w myśli swoje niepowodzenia, gdy laborant zawołał znowu:

— O, wychodzą od rękawicznika, a teraz siadają do dorożki i odjeżdżają.

Prowizor odwrócił się z westchnieniem i zatopił w pracy, by zgłuszyć ból.



W olbrzymim strajku w przemyśle amerykańskim biorą również udział kobiety, które z „łamistrajkami" w spódnicy, załatwiają się w sposób szybki i skuteczny. Po prostu pozbawiają swe towarzyszki sukien. Powyżej zdjęcie tego rodzaju „operacji".

Tymczasem Teobald próbował na Idzie sztuki, której nauczył się w Paryżu, zdobywania serc niewieścich. Starał się być najsłodszym, ale Ida czuła do niego wstręt nieprzezwyciężony.

Objął ją wpół i uścisnął jej zimną, jak lód rękę.

— Zimno ci? — spytał.

Skinęła twierdząco głową.

— No, to wysiądziemy i pójdziemy pieszo, może się trochę rozgrzejesz — rzekł Teobald uprzejmie.

Ida ucieszyła się bardzo. Idąc, nie mógł obejmować jej, ani ściskać jej rąk, a to było dla niej wielką ulgą.

Teobald był bardzo wygodny i niechętnie chodził pieszo. Skracał więc i teraz drogę i przechodził przez różne przecznice. Na jednej z takich przecznic wybuchła nagle wrzawa, jakby rozbawionego tłumu.

Teobald jednak tak był zatopiony w tym co mówił, że tego nie zauważył. Właśnie przemawiał z zapałem:

— Obawiam się, że jeszcze nie możesz mi przebaczyć, żem ci tak dokuczał za lat dziecinnych. Zrozum, że byłem wtedy bezmyślnym i kapryśnym chłopcem; obecnie jednak jestem już dorosłym mężczyzną i jeżeli ci teraz podaję rękę, to dlatego, że twój urok i wdzięk uwięził serce moje na wieki!

— Ależ pan dopiero tydzień jest w domu — broniła się Ida — nie miał więc pan czasu mnie poznać. Mógłby pan żałować kiedyś, że tak bez namysłu związał się ze mną.

— Ach, jak możesz być tak okrutna — skarżył się Teobald. — Życie bym oddał, aby ci oszczędzić każdej przykrej chwili, ja...

Przestraszony urwał, gdyż w tej chwili wrzawa się wzmogła i okrzyk: „baczność" odbił się o jego uszy.

Zza rogu ulicy ukazał się w tej chwili rozszalały byk, który ze spuszczonym łbem i nastawionymi rogami pędził wprost na nich. Za nim leciał tłum ludzi, których krzyk jeszcze bardziej go rozjuszał.

— Ratujcie — wrzasnął czuły kochanek, zapominając zupełnie o Idzie i śmiertelnie blady ze strachu, puścił się pędem wzdłuż ulicy, a byk rozszalały pędził za nim.

Ida ani na chwilę nie straciła przytomności umysłu. Skoczyła na bok i schroniła się w bramie stojącego obok domu, skąd dokładnie obserwowała ucieczkę zakochanego młodziana.

Biegł w śmiertelnej trwodze w górną część ulicy. Nagle potknął się i runął jak długi w rynsztoku.

Ida myślała, że teraz będzie już po nim, ale rozszalały byk w ślepej wściekłości, nie zauważył go nawet i popędził dalej.

Teobald wstał, ale przez ten niemiły przypadek, jego miłosne zapały mocno ochłodły.

— Czy nie skaleczył się pan przypadkiem? — spytała Ida z ukrytą ironią, zbliżając się szybko do niego.

— Nie! — odpowiedział opryskliwie — a zbrudziłem się dlatego, żem był zanadto śmiały. Chwyciłem byka za rogi i przy tym upadłem.

Ida wiedziała doskonale, że to kłamstwo, nic jednak nie mówiła.

— W takim ubraniu nie mogę iść do Prateru — złościł się Teobald — muszę się wprzód oczyścić!

Wstąpił do pobliskiego domu i wsunął jakiejś kobiecie kilka centów, prosząc, aby go oczyściła.

Poczciwa kobiecina, czyszcząc mu ubranie, paplała:

— Żałowałyśmy pana z sąsiadką, widząc, jak pan w strachu uciekał. Właśnie mówiłam do sąsiadki, że pan jeszcze upadnie ze strachu i zaledwie to wypowiedziałam, pan już leżał.

Teobald ofuknął ją z wściekłością, aby się lepiej spieszyła, zamiast gadać.

Potem zaprowadził Idę do pobliskiej winiarni, aby nieco się posilić, jak mówił.



W Trypolisie (Libia) odbył się ku czci Mussoliniego uroczysty capstrzyk z pochodniami, któremu dyktator Włoch przyglądał się, siedząc na koniu.

W separatce, dokąd ją zaprowadził i gdzie obstalował wspaniałą ucztę, uderzyły Idę zuchwałe spojrzenia kelnera; lecz gdy kelner wyszedł i Teobald zaczął jej się gorąco oświadczać, prosiła Boga, aby kelner znowu wszedł i temu przeszkodził.

Teobald był już dobrze podchmielony. Objął piękną Idę wpół i podając jej lampkę napełnioną winem, bełkotał:

— Pij, najdroższa!

Odepchnęła go szorstko ręką.

— Nie chcesz? — bełkotał Teobald dalej — no to ja sam je wypiję, ale całusa musisz mi dać, moja laleczko.

Zanim się zorientowała w sytuacji, poczuła wstrętne jego wargi na ustach. Ze strachu krzyknęła przeraźliwie:

Krzykiem tym zwabiony wszedł kelner.

— Co państwo rozkażą? — zapytał.

— Mnie tu za gorąco — rzekła Ida — pójdę na powietrze — i schwyciwszy rękawiczki, wybiegła, jak spłoszona sarna.

Teobald rzucił z wściekłością kelnerowi zapłatę i popędził za nią, przysięgając, że się zemści.

Przypuszczał, że Ida kocha się w markizie de Lorme i to go jeszcze bardziej złościło.

— Właśnie dlatego ona będzie moją — myślał — właśnie dlatego, że mnie nie kocha. Tym więcej to ma uroku dla mnie. Już ja jej wybiję z głowy tego markiza, jak będzie moją żoną.

— Czy lepiej ci już mój aniołku? — spytał, dopędziwszy ją na ulicy.

— Dziękuję panu — odpowiedziała cicho.

— Możesz mi mówić ty — rzekł na to rozkazująco — czy zapominasz, że za kilka tygodni będzie nasz ślub?

— Nie, ślubu tego nie będzie — odpowiedziała z mocą.

— Będzie, będzie! — śmiał się Teobald — prędzej, niż ci się zdaje.

Równocześnie spojrzał na nią zielonymi oczyma tak, że zdrętwiała ze strachu.

Szukała w myśli kogoś, u którego by się mogła na pewien czas schronić, ale nie miała znajomych, ani przyjaciół. Przygotowała się więc do walki z Teobaldem i jego rodziną.

Teobald tymczasem snuł również plany wojenne, rzucając Idzie jadowicie:

— A więc wojna!

Tak skończyła się wycieczka, po której Teobald tak wiele sobie obiecywał.

ROZDZIAŁ XCVI

Między niebem a ziemią

Cygan Ignacy stawił się nazajutrz punktualnie w leśniczówce. Mehlhose oczekiwał już swego przewodnika, dał mu więc przybory do malowania i wybrali się w drogę.

Po drodze próbował Mehlhose zręcznymi pytaniami dowiedzieć się czegoś o Alojzym, ale Ignacy wywijał się chytrze albo sucho odpowiedział:

— Nie wiem, proszę pana.

— Agent zauważył to prędko i zmienił taktykę. Zupełnie niewinnie gawędził sobie z Ignacym, opowiadał mu o różnych podróżach, których nigdy nie robił i o dzikich ludziach, których nigdy nie widział, a w opowiadania wplątał najrozmaitsze historyjki, które naturalnie zmyślał.

— Tak, tak — zakończył — na świecie dzieją się różne rzeczy.

Wy tutaj żyjecie, jak śledzie w beczce, nic nie widzicie, ani nie słyszycie.

Raz, gdy byłem w Japonii, zdobyliśmy szturmem dom, w którym znaleźliśmy w kadzi dwa trupy kobiece tak, że głowy były na dnie a nogi na górze. Był to widok okropny. W ogóle był to dom, pełen tajemnic. Znajdowała się tam też podziemna komórka, w której gnijące trupy strzegły skarbów złota i drogich kamieni, a wejście do nich było tak doskonale ukryte, że znaleźliśmy tylko je przypadkiem. Prawda, że u was tu, nigdy czegoś podobnego nie było?

— My tutaj kobiet nie topimy w kadziach — odpowiedział Ignacy przemądrze — ale podziemne komórki, to my także mamy.

— E, żartujesz sobie ze mnie — rozgniewał się agent.

— A o co się pan ze mną założy, że tak jest? — zapytał Ignacy.

— No, daję guldena, że mi nie pokażesz — rzekł agent.

— Zgoda! — zawołał ucieszony Ignacy — pokażę panu w Felseg takie podziemie, że pan może jeszcze nigdy nie widział takiego.

— E, pewnie chcesz mi pokazać jakąś piwnicę na mleko albo na piwo.

— Nie, zobaczy pan, że mam słuszność! — cieszył się Ignacy, myśląc o guldenie.

Alojzego nie zastali w domu, Ignacy ucieszony tym, wydobył klucze z schowka i zaprowadził Mehlhosego do jednej z komnat zamku: odsunął kamień i z triumfem pokazał podziemie agentowi, mówiąc:

— Widzi pan, nie trzeba jechać do Japonii, aby zobaczyć coś podobnego.

Agent zaświecił zapałkę i popatrzył na dół, ale Ignacy naglił do powrotu, mówiąc, że obawia się, aby Alojzy nie nadszedł i ich nie zastał w podziemiach.

— Dobrze, możemy iść — rzekł obojętnie agent — proszę, oto twój gulden!

— Dobrze, możemy iść — rzekł obojętnie agent — proszę, oto twój gulden!

Ignacy pozamykał wszystkie drzwi i klucze położył tam, skąd je wziął, aby Alojzy nie domyślił się niepożądanych odwiedzin i wyszli z zamku.

Mehlhose rozpiął stalugi i począł rysować.

Miał on niezwykły talent do rysunków i tylko nędza nie pozwoliła mu kształcić się. Był to nieszczęśliwy człowiek. Z konieczności tylko oddawał się obecnemu zawodowi, ale że był z natury bardzo sprytny, chociaż bolało go to niezmiernie, że nie mógł zostać malarzem.

W tej chwili jednak nie narzekał na swój los. Jego dusza artystyczna zachwycała się widokiem roztaczającym się przed nim.

Zapalił się do tego pięknego krajobrazu tak, że rysując zapomniał zupełnie, kim jest i po co tu przyszedł. Nie był teraz agentem, lecz artystą.

Ignacy tymczasem położył się na trawie i wypatrywał Alojzego. Przez długi czas leżał brzuchem do góry, patrząc w niebo, ale gdy mu się to znudziło, zaczął się przechadzać. Dziwił się, że Alojzego jeszcze nie ma i ze zdumieniem zauważył, że w krzakach, okalających stok góry, coś się rusza.

— Przecież tam nie ma drogi — mruknął — kto stamtąd może przychodzić?

Udając, że włóczy się bez celu, zbliżył się do krzaków, wyciągnął scyzoryk z kieszeni i zaczął wycinać sobie pręty z leszczyny.

Nie mylił się, przypuszczając, że ktoś tamtędy jednak idzie. Jakże się zdziwił, gdy z poza krzaków zobaczył wychylającego się z koszem w ręce kasztelana.

Alojzy zobaczywszy Ignacego, natychmiast skulił się i skrył.

Ignacy w duchu zaśmiał się szyderczo, że podpatrzył Alojzego i począł rozumować:

— Idzie z koszem — przynosić stamtąd nic nie może, bo tam nic nie ma, więc musiał tam coś zanosić. Wobec tego, nic innego, tylko ukrywa gdzieś jakiegoś kłusownika, ściganego przez policję. Już ja się dowiem, co tam tkwi, za tajemnica.

Tymczasem Mehlhose malował z takim zapałem, jak może tylko artysta z Bożej łaski. Nie czuł zmęczenia, ani głodu.

Za to głodny był Ignacy i przypomniał mu, że Sylwia dała im kosz z żywnością. Zapytał więc, czy może go rozpakować i nie czekając na odpowiedź, otworzył go.

Mehlhose z wielkim pośpiechem posilił się i wrócił znowu do pracy, czemu Cygan nie mógł się nadziwić.

— Mój Boże — dogadywał mu — ja, jak nie potrzebuję, to nie ruszę ani ręką ani nogą, a pan tak pracuje, jak gdyby życie pańskie od tego zależało.

Od niechcenia patrzył na robotę malarza i aż krzyknął ze zdziwienia.

— Oho! — zawołał — toż to Czartowski Jar. Całkiem tak samo wygląda. Musimy się jednak spieszyć do domu, bo mamy daleką drogę.

Z westchnieniem zabierał się malarz do powrotu. Odczuwał przy tym wyrzuty sumienia, że przez ten cały czas zaniebał poszukiwań, za które mu płacono.

Rzeczywiście miało to skutki opłakane. Gdyby nie był z takim zajęciem malował, byłby także zauważył Alojzego jego ukrywanie się i to byłoby natychmiast zwróciło jego baczną uwagę, a wtedy byłby odkrył drogę i odnalazł Wernera.

Tymczasem musiał Sylwii powiedzieć, że kasztelana wcale nie widział. Zamówił Ignacego na dzień następny, ale nazajutrz była słota, która uniemożliwiła wycieczkę do Felseg.

Wobec tego Ignacy, ani nie pomyślał o malarzu, tylko wdział dwa kaftany, na to worek i w ten sposób zabezpieczywszy się od niepogody, wybrał się na poszukiwanie ukrytego niebezpiecznego kłusownika.

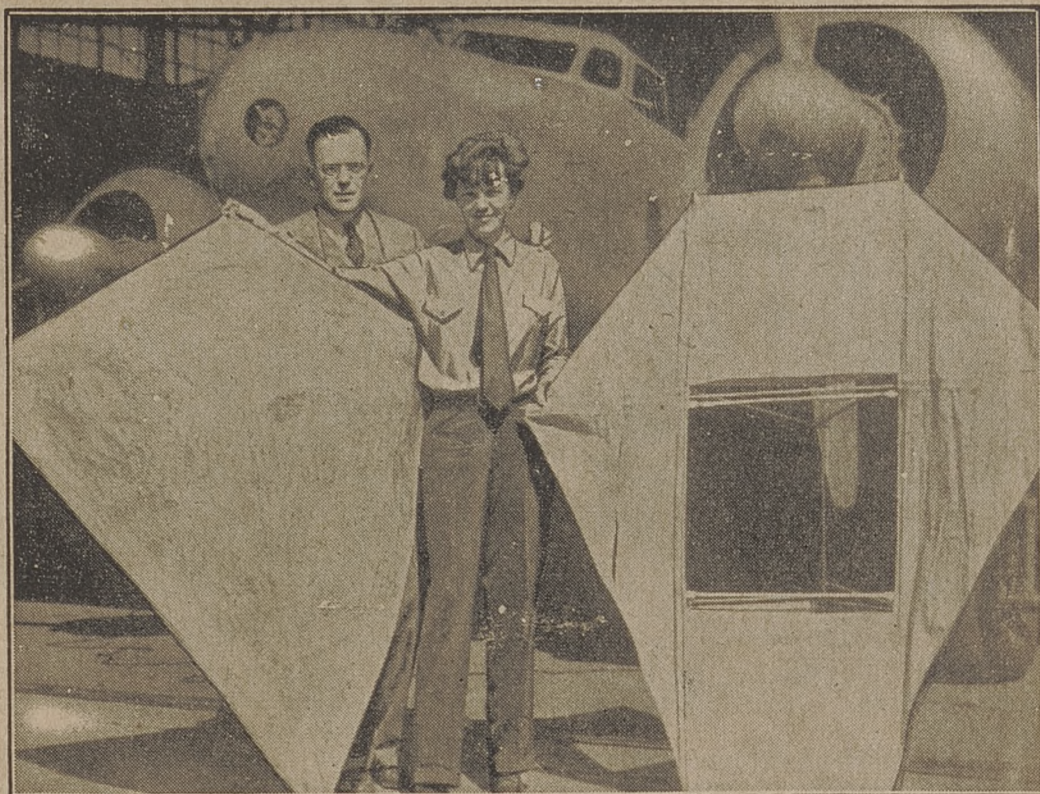
Chytrze, jak Indianin, który śledzi nieprzyjaciela, podkradł się do miejsca, w którym wczoraj widział Alojzego, przedarł się przez krzaki i szukał śladów kroków kasztelana.

Gdzinę szukał nadaremnie, gdyż deszcz zatarł je zupełnie. Stracił już nadzieję w odkryciu czegoś do tego stopnia, że chciał wracać bez niczego.

Ale nagle zobaczył wąską, krętą ścieżkę.

Bez namysłu szedł po niej w górę i niebawem znalazł się przy chałce nad wodospadem.

Znał ją dobrze i wiedział, że tam nic nie ma, ale jeden rzut oka na kłódkę, której przedtem przy drzwiach nie było, poinformował go o tym, że wewnątrz ktoś się znajduje, a właściwie jest uwięziony, bo inaczej nie byłby zamknięty na kłódkę.



Amerykanka Amelia Earhart — która wybrała się w samotną podróż powietrzną naokoło świata. Lot ten zakończył się jednak niepowodzeniem na pierwszym etapie, wskutek eksplozji tanku z benzyną na lotnisku w Honolulu. Na zdjęciu słynna lotniczka wraz z mężem na tle swego samolotu.

Dach był także naprawiony. Nie namyślając się długo, wdrapał się na dach, z sosnowych gałęzi, zrobił w nim otwór i wskoczył do środka.

— Wisznu święty! — zawołał — przecież tu leży nasz pan hrabia, jak pies na łańcuchu!

Przyskoczył do niego i usiłował wyciągnąć łańcuch ze ściany, ale chociaż wytężył swe siły i Werner pomagał mu lewą ręką, nie dali jednak rady.

Cygan zawołał więc głośno, aby zagłuszyć szum wodospadu:

— Pójdę zawołać naszych ludzi, oni nam chętnie pomogą.

Ale Werner powstrzymał go ruchem ręki i na migi poprosił, aby jeszcze raz spróbował łańcuch wyciągnąć.

Wzrok jego był taki błagalny, że Ignacy z litości nad nim, mało się nie rozpłakał.

Podczas, gdy tak pracowali w pocie czoła, nie zauważyli, że ktoś otworzył drzwi i natychmiast je zamknął.

Była to Ilona.

Bez tchu pobiegła na powrót do zamku, gdzie zastała Alojzego w stodole, rżnącego piłą drzewo.

— Bierz piłę i chodź — zawołała.

— Dokąd? — spytał.

— Chodź, idioto, jak ci mówię! — i tupnęła nogą ze złości — Ignacy jest w chałce u hrabiego i próbuje go uwolnić z łańcucha. Sam nie da rady, ale pobiegnie na pewno po pomoc do obozu. Poderzniesz więc piłą kładkę nad przepaścią, przez którą on musi przechodzić, tak, aby się pod nim załamała. On wleci w przepaść i zabije się. Idź, a ja tymczasem będę czekała na niego na drodze i rozmową będę starała się go zatrzymać, dopóki ty nie skończysz.

Alojzy patrzył na nią osłupiałym wzrokiem. Nawet jego zbrodnicza dusza zadrżała przed tą demoniczną kobietą.

— Diabeł w tobie siedzi — zawołał.

— Prędzej — wrzeszczała Ilona — jeżeli przyjdziemy za późno i on dotrze do obozu, jesteśmy zgubieni! Nie pozostawałoby nam nic innego, jak tylko ucieczka!

— Ilono! — zawołał Alojzy ochrypłym głosem — mam więcej, niż pięć tysięcy reńskich. Uciekaj ze mną w świat!

— To za mało — odpowiedziała chytra Cyganka — gadaj, czy pójdziesz natychmiast poderżnąć kładkę, czy nie? Jeżeli nie, to sama pójdę, ale to sobie dobrze zapamiętaj, że tchórz nigdy nie zostanie moim mężem.

Alojzy zaklął straszliwie, pochwycił piłę i wyszedł.

Nad głęboką przepaścią położony był pień drzewa który służył śmiałym góralom za most.

Alojzy z natężeniem wszystkich sił, położył obok pnia drugi pień, siadł na nim i zaczął podrzynać pień, który tworzył most.

Skończywszy, wyciągnął pień, na którym siedział i ukrył go w krzakach.

Tymczasem Werner uznał, że bez odpowiednich narzędzi nie da się go uwolnić i nie zatrzymywał już Cygana, gdy ten zwinny, jak wiewiórka, wyszedł znowu przez dach z chałki.

Z westchnieniem patrzał za nim i liczył minuty do jego powrotu.

Tymczasem Ilona czekała już na wyrostka przy drodze. Gdy przebiegał obok niej, wyszła z ukrycia i zatrzymała go, wołając żartobliwie: Trrrr!

— Puszczaj, małpo! — wrzasnął Ignacy ze złością.

— Ej, nie rozumiesz się na żartach — mówiła słodko Ilona — kto się lubi, to się czubi!

— E, bardzo mnie lubisz!



Po raz czwarty odbył się w Berlinie mecz piłki nożnej między Francją a Niemcami, w obecności 73.000 widzów. Zdjęcie nasze przedstawia fragment z tego meczu.

— Naturalnie, dlaczego cię nie mam lubić? Czy nie jesteś przystojnym chłopcem?

— Puść mnie! Nie mam czasu! — zawołał niecierpliwie Ignacy.

— Masz kochankę tu w okolicy? — spytała niewinnie.

— Tak jest — odpowiedział, odpychając ją od siebie tak, że go musiała puścić i pobiegł naprzód, ale ona jednym tygrysim skokiem była znowu przy nim.

— Ty mnie będziesz bił? — krzyczała pieniąc się.

— Wyrwałem ci się tylko, boś się mnie uczepiła, jak ślepy płota — bronił się Ignacy.

— Kłamiesz!

— Ty sama kłamiesz teraz i zawsze kłamałaś!

— Ty szubienieczniku! Myślisz, że się pozwolę bezkarnie przezywać i to od ciebie? Twój ojciec i twoja matka zginęli na szubienicy, a ty zaś zdechniesz w kryminale.

— Jak mi jeszcze piśniesz coś o ojcu albo o matce — syknął Ignacy blady ze złości — to ci wszystkie zęby powybijam. Myślisz, żeś wnuczka silnego Marka, to ci już wszystko wolno? O nie, w ogóle skończy się twoje panowanie, jak się stary Marek dowie, że robisz łajdactwa z Alojzym.

— Jak to? Nie rozumiem ciebie!

— Nie rozumiesz? To ci powiem! Ty i Alojzy więzicie pana hrabiego nad wodospadem.

— Mój złoty, mój kochany! Przecież nas nie zdradzisz? Podzielimy się za to wynagrodzeniem.

— Tak jest! Sobie weźmiecie mięso a mnie rzucicie kości! Nie, ja się nie dam oszukać. Idę zaraz po naszych ludzi, a jeżeli tymczasem zechcesz coś zrobić hrabiemu, to wszystkim powiem, żeś go zamordowała.

— Ja ci radzę, daj spokój. Co ciebie obchodzi hrabia? Co ciebie to obchodzi, że on tam siedzi zamknięty! Niech on tam sobie siedzi, a ty się o niego nie troszcz! Nie wierz mu, jeżeli ci obiecywał złote góry, bo jak tylko wyjdzie stamtąd, to nic nie będzie z tych wszystkich jego obiecanek.

Zresztą lepszy jeden kanarek w ręce, niż sto szczygłów na dachu. Dam ci natychmiast 1000 reńskich, jeżeli mi przysięgniesz, że nikomu nie piśniesz słówka o tym, co wiesz.

— Żmijo! — krzyknął Ignacy i potrącił ją tak silnie, że się zatoczyła i upadła.

Przez to napisał na siebie wyrok śmierci.

W szybkim biegu popędził naprzód. Życie hrabiego leżało w jego ręku, — chciał je jak najprędzej uratować. Aby się prędzej dostać do obozu, wybrał, jak Ilona słusznie przypuszczała, krótszą drogę nad przepaścią, nad którą Alojzy wykonał swoje zbrodnicze przedsięwzięcie.

Nie patrząc w dół, wstąpił na mostek i szedł dalej.

Nagle poczuł, że traci grunt pod nogami i zleciał w dół.

Wydał przeraźliwy okrzyk i z szeroko otwartymi oczyma patrzył do około i widział, jak z szybkością błyskawicy, przelatuje obok wystającej skały, na której rosły skarłowaciałe krzaki.

Kierowany instynktem samozachowawczym, chwycił się ich rękami i rozpaczliwym głosem wołał o pomoc, ale nie słyszał go nikt prócz Alojzego, który naturalnie o ratunku dla niego nawet nie myślał.

W rozpaczy patrzył Cygan dookoła, szukając miejsca na skale, na którym by mógł oprzeć nogę, ale na próżno.

Wtem nowy okrzyk przerażenia wyrwał się z jego ust. Usłyszał tuż nad głową szum skrzydeł, a w tejże samej chwili zobaczył nad sobą czerwone oczy i wykrzywiony dziób sępa.

Instynktownie ukrył twarz w ramionach, modląc się:

— Wisznu, zbawco wszystkich stworzeń, wysłuchaj mnie i ześlij mi zbawcę od tak strasznej śmierci!

Tym czasem sęp ostry dziób wbił mu w ciało.

ROZDZIAŁ XCVII

Tylko na żart

Baron bardzo był niezadowolony z tego, że nie wiedział na pewno, czy Werner rzeczywiście już nie żyje. — Prócz tej wielkiej troski, miał jeszcze i to zmartwienie, że papiery, które zmarła kobieta zostawiła w leśniczówce, mógłby mu przysporzyć kiedyś wiele nieprzyjemności.

— Psia krew! — mruczał z wściekłością — żeby tę Sylwię jakoś stąd wywabić!

Na listy anonimowe, które do niej posyłał, nie zwracała najmniejszej uwagi. Namyślała się więc nad nowym jakimś planem.

— Już wiem — rzekł wreszcie — muszę mieć jeszcze w domu kilka listów od Wernera. Haiowi także będę musiał dużo zapłacić, bo w całej sprawie jest to złe, że trzeba dawać dużo pieniędzy.

Zadzwonił na służącego i kazał sobie przygotować na podróż rzeczy.

Służący zdziwił się bardzo i powiedział nawet do służby:

— Dopiero wrócił i znowu jedzie. To dziwne! Przecież przed weselem każdy siedzi w domu — to bardzo dziwne.

Tu dużo rzeczy jest dziwnych! — rzekła na to klucznica z pogardą w głosie. — Jedno tylko mnie cieszy, że po ślubie nie będą tu mieszkać, bo im sąd na to nie zezwoli.

Tak samo, jak ona, myślała cała służba nienawidząca barona z całej duszy.

Gdy Egon wyjechał, cieszyli się, że przez tydzień będą mieli spokój.

Egon przez całą drogę pisał coś w notesie, a musiało to być coś ważnego, bo często kreślił i zmieniał zdania. Nareszcie skończył i schował ołówek w złotej oprawie do kieszeni.

Przyjazd barona do Wiednia, był niemiłą niespodzianką w pełni dla jego lokaja, który we Wiedniu używał w pełni wolności.

Egon kazał napalić w pokojach i nie zrzucając nawet zarzutki, zaczął szukać czegoś w biurku.

Wydobywał masami listy miłosne, które z szyderczym uśmiechem rzucał na ziemię.

— Minione czasy — myślał — byłoby fatalne, gdybym nie znalazł żadnego listu hrabiego Wernera Wildensteina.

Szukał dalej i wydobywał wiele niezapłaconych rachunków, zaproszeń na polowania, wieczorki, bale i biesiady.

Niecierpliwie tupnął nogą.

— Do diabła! — klął — nigdy nie można znaleźć tego, czego się szuka, jestem przekonany, że prędzej znajdę wileoryba, niż list Wernera.

Właśnie w tej samej chwili wpadło mu w rękę pismo Wernera. Było to zaproszenie na polowanie z ubiegłej zimy. Chciwie je chwycił i włożył do kieszeni i nie porządkując reszty papierów, prędko wyszedł z domu.

Na ulicy przywołał dorożkę i kazał się wieźć pod „Złotego Anioła“.

Gdy wysiadł z powozu, zobaczył w oknie panią Hai, która zobaczywszy barona, odskoczyła od okna i pobiegła do męża, wrzeszcząc:

Baron Sturmfeder przyjechał! Jeżeli zechce pieniędzy, nie daj mu ani centa, temu lekkoduchowi, pamiętaj!

— Ależ Selmo! — upominał ją łagodnie małżonek.

Wkrótce Hania weszła do pokoju i przyniosła kartę barona.

— Poproś go do salonu, moja córko! — rzekł aptekarz, zawracając pobożnie oczyma — niech Pan Bóg pobłogosławi jego przybycie do mnie.

Potem szepnął do żony:

— Uważaj, aby się nie spotkał z Idą, bo on jest znany, jako niebezpieczny zdobywca serc.

— Tegoby jeszcze brakowało — mruknęła pani Hai wychodząc na korytarz, aby zapobiec przypadkowemu spotkaniu się Idy z baronem.

Tymczasem aptekarz poszedł do salonu i przywitał swego gościa:

— Niech Pan Bóg błogosławi przybycie pańskie do domu mego!

— Na co te wszystkie gadania! — odparł opryskliwie Egon.

— Przebywa pan, panie baronie, w domu chrześcijańskim — odpowiedział hipokryta — a więc niech błogosławieństwo chrześcijańskiego ducha roztoczy się nad panem.

Zamiast odpowiedzieć, Egon ziewnął.

— Objawienie jeszcze nie przyszło na pana, panie baronie — mówił Hai dalej. Zdaje mi się, że pan jest na szerokiej drodze, prowadzącej do wiecznego potępienia.

— Bardzo wygodna droga — odpowiedział baron okropnie znudzony — co porabia panna Janka? — dodał zaraz.

Aptekarz zbladł z obawy, aby żona jego nie posłyszała i odpowiedział:

— Pan baron się myli, moja przybrana córka nie nazywa się Janka, tylko Ida.

— Wiem o tym, ale nie mówię o niej, tylko o Jance, przyjaciółce Mali Herz.

Aptekarz prędko położył mu rękę na ustach.

— Imienia takich osób, nie wymawia się w moim domu — rzekł oburzony.

— Żartem także nie? — zapytał baron.

— Ani żartem — odparł uroczyście Hai.

— Ha, skoro tu nie można mówić — rzekł Egon — to chodźmy do jakiejś winiarni.

Kiedy aptekarz jeszcze się wahał, Egon przybrał minę pogardliwą i wyciągnąwszy banknot 600 - guldenowy, rzekł:

— Obawia się pan, aby nie musiał rachunku zapłacić za mnie?

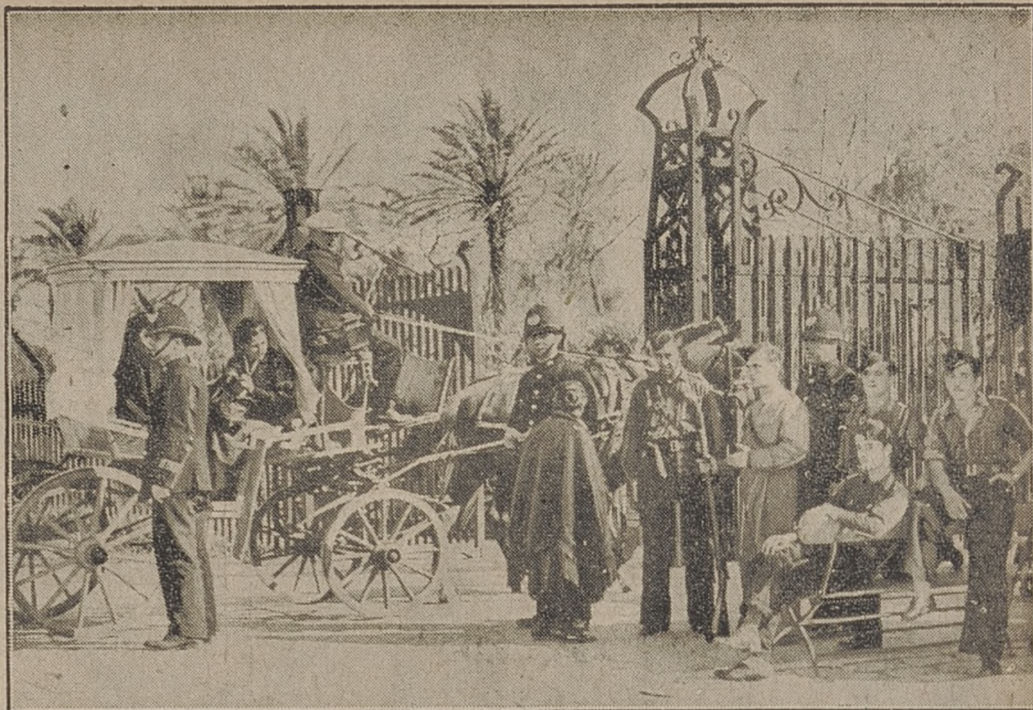
— Ale gdzie tam! — bronił się aptekarz — wiem, że pan od takiego biednego człowieka, jak ja, nie żądałby czegoś podobnego.

Mimo tego zapewnienia jednak, teraz już był gotów iść z baronem. Wsiadł z nim do doróżki i pojechał do pierwszorzędnej winiarni.

Egon zamówił wspaniałą kolację z doborowym winem, a Hai zajadał tak smacznie, że aż pot wystąpił mu na czoło.

— Słuchaj pan, panie Hai — rzekł baron Egon po kolacji — czy nie pomógłby mi pan w wykonaniu małego podstępu — żartu?

— Aha! — pomyślał przezorny aptekarz — już ja wpierw się dobrze namyślę, nim zgodzę się na ten rzekomy żart.



Granicy pomiędzy Gibraltarem a Hiszpanią strzegą policjanci angielscy, znajdujący się, jak wskazuje nasze zdjęcie, w dobrej komitywie z hiszpańskimi „falangistami".

Potem dodał głośno:

— Pan baron wybaczy, ale jako wierny katolik nie lubię żartów.

— Ani nawet takich, które się panu opłacają? — spytał baron uszczypliwie.

— Nie przykładam wagi do skarbów doczesnych i znikomych, chociaż jako ojciec rodziny, skazany jestem na to, że muszę przyjmować wszelki zarobek jaki mi się nadarzy.

Pan umie bardzo dobrze naśladować pismo — zaczął Egon.

Ale Hai przerwał natychmiast:

— Jeżeli o takie rzeczy chodzi, to nic z tego nie będzie. Nie mam najmniejszej ochoty cierpieć za pańskie grzechy.

— E, nie gadaj pan głupstw — niecierpliwił się baron. — Myślisz pan, że chcę fałszować weksle? Dobre pan ma o mnie wyobrażenie.

— A o co chodzi? — spytał podejrzliwie aptekarz Hai.

— List miłosny do pewnej dziewczyny ma mi pan napisać. No co, wielka to rzecz? Nigdy pan nie popełni czegoś podobnego?

— Zdaje mi się, że w pisaniu listów miłosnych ma pan taką wprawę, że mojej pomocy pan nie potrzebuje — odparł cynicznie Hai.

— Nie chodzi o styl, tylko o charakter pisma — rzekł Egon, wyciągając list Wernera z kieszeni i oddając go aptekarzowi.

Aptekarz przeczytał i zaczął się drożyć.

— O, to pismo jest bardzo trudne do naśladowania — rzekł z namysłem. — Będę musiał je przez jakiś czas ćwiczyć.

— Kiedy ja nie mam czasu czekać — mówił Egon — muszę to mieć zaraz!

— Hm, nic na to nie poradzę! — odpowiedział Hai ukrywając uśmiech.

— Hai! — zawołał Egon nerwowo — przyznaj się, że dlatego mi robisz trudności, aby sobie więcej kazać zapłacić.

— Daleki jestem od tego — odparł świętoszek — albowiem powiedziane jest: „Usłużni bądźcie bliźnim w dzień i w nocy".

— Daj mi pan spokój z tymi cytatami, bo już mnie wściekłość bierze! — wrzasnął Egon.

— Jeżeli pan myśli, że kto inny panu prędzej to zrobi, niż ja — odparł aptekarz, nie tracąc zimnej krwi — to odstępuję chętnie!

Egon nic nie mówiąc, wychylił ze złości kilka lampek wina jedną po drugiej, potem zapytał aptekarza o warunki.

— A długi ma być ten list? — zapytał znowu aptekarz.

— Przeczytam panu — odpowiedział baron i zaczął czytać.

List brzmiał:

Kochana Sylwio!

„Od czasu naszej rozłąki cierpiałem strasznie. Tylko nadzieja powrotu ocaliła mnie od szału, którego byłem bliski, tam, gdzie się znajduję. Jestem bowiem w domu dla obłąkanych, w pobliżu Wiednia. Gdzie to jest, nie mogę Ci dokładnie powiedzieć, bo przywieziono mnie tu wśród nocy. List ten przesyłam przez jedną szwaczkę. Jeżeli mnie więc kochasz, najdroższa, uwolnij mnie. Nie ufaj nikomu, bo jesteś otoczona szpiegami. Rzekomy malarz, który bawi u was jest szpiegiem barona Sturmfedera, a rodzice twoi to takie natury otwarte, że jeżeli ich zapoznasz ze swoimi planami, nie potrafią ich utrzymać w tajemnicy. Przyjedź do Wiednia i dla poznania trzymaj w ręku ten list i czerwoną różę. Oczekiwać Cię będzie dziewczyna, która Ci powie wszystko inne. Nie zapominaj, że cała moja nadzieja polega w Tobie i prędko spiesz na pomoc Twemu nieszczęśliwemu, kochającemu Cię

Wernerowi.

— To pan nazywa listem miłosnym? — zapytał Hai, wysłuchawszy uważnie całego listu. — Zdaje mi się, że tu



Król angielski Jerzy VI (X) odwiedził południową dzielnicę Londynu Kensington, gdzie został przez mieszkańców entuzjastycznie powitany.

chodzi o wszystkie inne rzeczy, tylko nie o miłość.

— Ależ to żart tylko — bronił się Egon — chodzi mi przede wszystkim o to, aby dziewczyna przejechała kilka mil i potem dopiero zobaczyła, że jest wyprowadzoną w pole.

— I tak się panu spieszy do tego żartu? — zapytał badawczo aptekarz — cóż panu szkodzi, jeżeli pan ten żart wykona o dwa dni później!

— Zamiast tyle gadać, powiedz pan lepiej zaraz, ile pan za to żąda — spytał rubasznie baron.

— Powiedzmy 5.000 reńskich! — odpowiedział z zimną krwią aptekarz.

— Co? — pieniąc się, zawołał Leon — 5.000 diabłów może!

— Panie baronie! — rzekł aptekarz z godnością — muszę pana barona poprosić, aby pan w mojej obecności nie używał takich wyrazów. Jako wierny katolik, nie mogę tego słuchać.

— Ale jako wierny katolik, może pan żądać 5.000 reńskich za kilka pociągnięć piórem, zawołał Egon, biegając po pokoju, jak wariat. — Nie mam nawet teraz tyle! — jęknął wreszcie.

— O, ja chętnie wezmę weksel! — zapewniał poczciwie aptekarz.

— Widzę, że źle jest schodzić z dobrej drogi — martwił się Egon.

— Bardzo słusznie, bardzo moralna zasada — rzekł na to aptekarz. — Egon zaciął zęby i dopiero po dobrej chwili stłumił złość.

— List napisze pan na kartce wyrwanej z jakiejś książki — rzekł — a koperta musi być bardzo tania. Ma pan tutaj adres!

Czy będzie jutro rano list? — spytał Egon.

— Pod warunkiem, że mi pan da słowo, że tu chodzi tylko o żart! — rzekł aptekarz.

— Ależ tak, do stu diabłów!

— Daj mi pan ten list, który ma być wzorem pisma i ten drugi, z którego mam odpisać.

Egon wyrwał kartkę z notesu, z którego czytał i dał mu razem z kartką zapisaną przez Wernera.

— Jutro musi mi pan to wszystko oddać — rzekł baron ochrypłym głosem — niech pan nie próbuje nawet zatrzymać tego u siebie, aby potem nie wymuszać u mnie pieniędzy.

— Nigdybym nie splamił rąk posiadaniem czegoś, do czego nie mam prawa. Bezprawie mści się. Grosz nieprawym sposobem zarobiony...

— Daj mi pan spokój ze swoimi moralami — krzyknął Egon, zniecierpliwiony do najwyższego stopnia — jak o 8-mej godzinie rano przyjdę do pana, czy będzie już list?

— Proszę! Całą noc będę pracował.

— Opłaci się za pięć tysięcy reńskich! — rzekł Egon.

— Ha, kto sobie może pozwolić na tak kosztowne żarty! — odpowiedział aptekarz. — Pan Bóg obdarzył pana dobrami tego świata. Dał panu ziarna i olej, krowy i osły! Obdarzył cię — cytował z pisma świętego...

Egon zatkał uszy, aby nie słyszeć końca cytaty. Potem zawołał kelnera, aby zapłacić za kolację i pożegnawszy się z aptekarzem, poszedł do Janki.

Dziwnym sposobem zastał ją w domu.

— Jezus Maria, pan baron! Co za uciecha! — zawołała z zachwytem!

Egon przywitał ją, gładząc po twarzy.

Co dzień jesteś piękniejszą — rzekł — stary Hai, ma dobry gust.

Zaśmiała się bezczelnie.

— Pewnie cię obsypuje złotem i podarkami? — spytał baron.

— Ależ gdzie tam! Każdego guldena trzeba mu wydzierać z gardła, taki jest skąpy! — odpowiedziała Janka.

— Słuchaj mała — rzekł baron, zaczynając mówić o tym, co go sprowadziło do niej — jeżeli mi pomożesz w wykonaniu pewnego żartu, dam ci 100 reńskich. Czy dobrze?

— Jeżeli przy tym nic nie ryzykuję, a pan mi zaraz da pieniądze, to dobrze, dlaczego nie?

Egon dał jej 100 reńskich. Schowała je skwapliwie i spytała o co chodzi.

— Teraz nie mam czasu — odpowiedział Egon — przyjdę jutro o 4-tej

— Kiedy stary Hai może się również zjawić o tej porze.

— A więc jutro o 4-tej, u Periniego! — rzucił jej i pożegnawszy ją całusem, wyszedł.

— Jutro o 4-tej — pomyślał sobie — nie będzie już miała tych pieniędzy i będzie się musiała zgodzić na wszystko, co jej powiem.

Wrócił do mieszkania, by zasnąć snem sprawiedliwych, a nazajutrz punktualnie o ósmej rano był u aptekarza.

Hai wręczył mu papiery i chowając do szafy weksel na 5.000 reńskich, rzekł uroczyście:

— Umywam ręce od wszystkiego. Zrobiłem to panu tylko dlatego, że mi pan dał słowo, że to żart!

— Znam ja takie żarty — myślał po wyjściu Egona aptekarz — będzie to na pewno porządne łotrostwo!

Postanowił nazajutrz być przy każdym pociągu, żeby podpatrzeć, co się stanie. Ale baron wiedział dobrze z kim ma do czynienia i zaradził temu.

Wieczorem bowiem Hai dostał nagle telegram, że kupiec frankfurcki, u którego miał pieniądze, lada dzień zbankrutuje.

Zapominając o wszystkim pojechał naturalnie natychmiast do Frankfurtu i proszę sobie wyobrazić jego wściekłość, gdy dowiedział się tam, że go oszukano.

Domyślił się naturalnie zaraz, że to sprawka Egona. Za ten żart ciężko mi pan odpokutujesz, panie baronie! — pomyślał sobie, zgrzytając zębami.

ROZDZIAŁ XCVIII

Myśl zbrodnicza już przed czynem jest potępiona

Właściciel hotelu był uszczęśliwiony takim gościem, jak baronowa Wimpfen, zajęła ona bowiem cały szereg pokoi na pierwszym piętrze i sypała wokół pieniędzmi.

To też, gdy baronowa tylko zadzwoniła służba zostawiła każdą robotę i leciała na jej usługi.

Tylko Vittorina stanowiła wyjątek. Włoszka wprawdzie miała temperament południowy, więc zakochała się prędko w Leonie, który po przybyciu baronowej sprowadził się do eleganckiego pokoju tuż obok swej kochanki.

Bystra Włoszka odgadła od razu stosunek jaki panował pomiędzy Leonem a baronową.

Najbardziej zaś bolało ją to, że Leon wcale teraz na nią nie zwracał uwagi i zupełnie ją ignorował.

Odczuwała więc szaloną zazdrość, która przeszła w rządzę zemsty i pewnego razu przez dziurkę od klucza podpatrzyła baronową, jak się namiętnie całowała z Leonem.

Ciąg dalszy na str. 277.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PROSZĘ PRACOWAĆ NAD SOBĄ

„Smutny Sztubak". Zainteresował mnie Pan swoim listem. „Jestem ciężarem, zamiast pomocą!" — pisze Pan z bólem. Po cóż te refleksje, Drogi Chłopcze, kiedy już i teraz jesteś wartościową jednostką a to, co obecnie bierzesz, możesz przecież w przyszłości oddać w dwójnasób, tak swojej Rodzinie, jak i społeczeństwu. Głowa do góry i trochę więcej młodzieńczej wiary, a wszystko będzie dobrze!

Pseudonimu, o który Panu chodzi, nie mogę, niestety, Panu podać. Nie pamiętam! — oto wszystko.

Wiersze Pana zrobiły na mnie pewne wrażenie. Jest w nich pewien polot, brak tylko opanowania strony technicznej. Proszę pracować nad sobą, bo „może być jeszcze z tej mąki chleb". Jeden z wierszyków „Czas" — zamieszczam.

A teraz dopisek Pana:

„Nell"! Serdecznie pozdrawiam! Irce i Zosi z P. zasyłam przyjacielski uścisk dłoni.

Janko z C. — dziękuję, pozdrowienia odwzajemniam i mimo wszystko — nie!

„Samotny Stef" — tak mi żal, że z propozycji skorzystać nie mogę — pozdrawiam!

Wszystkim smutnym — dużo radości!"

CZAS

Jak lawa gorąca,
Jak potok bez końca,
Mknie szybko czas!

Hej, naprzód ścieżyną,
Minuta z godziną,
Spieszą się wraz.

Dziecińswo — przemija,
I młodość — upływa,
Ogromnych mas!

A starość nie radość,
Spieszy się zadość,
Dogoni i nas!

„Smutny Sztubak".

TO NIC...

„Laleczka". Pisze Pan, że szczęście stale krąży wokół Pana, ale jest dziwnie nieuchwytne. To nic, Drogi Panie, na pewno podejdzie ono kiedyś blisko Pana, tak, że poczuje je Pan w swoim sercu. Kto czeka na szczęście z taką piękną nadzieją, jak Pan, ten zawsze się go doczeka.

Cieszę się, że przyjął Pan z takim zrozumieniem odpowiedzi Wujka Janusza. Rzeczywiście, Wujek Janusz nie miał żadnych złych intencyj, był tylko sprawiedliwym krytykiem.

Ślę Panu dużo, dużo pozdrowień i nie zapominam pozdrowić w imieniu Pana „Smutną Hankę", „Banialukę" i „Mirigę".

HALO! TU „TAJEMNICZA SZATYNKA!"

„Tajemnicza Szatynka". Będę bardzo zadowolona, jeżeli uda się Pani nawiązać interesującą korespondencję — taką, o jakiej Pani marzy. Życzę Pani dużo powodzenia w „Krainie", i niżej zamieszczam apel Pani:

„Halo! Tu „Tajemnicza Szatynka", bardzo miła dziewczynka o pięknych oczach. Kto zainteresuje się nią, ten otrzyma długi liścik.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyłam „Solidnemu Ślązakowi" (proszę Go również o kilka słów!), „Wytwornemu Włóczędze", „Tartukowi" i wszystkim przemiłym Sympatykom zasyłam z Pomorza — śliczne pa!

Na zakończenie podaję mój adres: poste-restante, Więcbork (Pom.), dla „Tajemniczej Szatynki".

ŻYCIE

Choć tyle ludzi jest na świecie,
choć wielkie grono przyjaciół masz,
mimo, że wesół zda się jesteś,
lecz smutek także dobrze znasz — —

Tęsknota nieraz twe serce ogarnia,
zwątpienie nikłe zasnuje twą duszę,
a łzy bezwiednie twoją radość skrytą,
jak mgłą, jak zmierzchem smutku ją
przyprószą...

Więc nie oglądaj się już za niczym,
lecz sam idź przez życie twe młode —
a wówczas tylko możesz być pewny,
— że nigdy nie zaznasz zawodu...

Jan Feliks Płóciennik.

DWAJ KOLEDZY

„Cygan" i *„Samotny Genio"*, dwaj koledzy, zamieszkujący Ziemię Pałucką, zapragnęli spróbować szczęścia w korespondencji. W tym celu wystosowali następujący apel:

„I my przedstawiamy się miłemu zespołowi „Krainy":

„Samotny Genio" jest ciemnym blondynem, średniego wzrostu, muzykalny, podobno przystojny i szalenie sympatyczny.

„Cygan" to wesołe chłopaczysko, 25-letni brunet. Przepada za wycieczkami, a nade wszystko lubi swego „Indianina", którego utrzymuje stale przy życiu benzyną.

Obydwaj powyżsi koledzy przesyłają pozdrowienia „Ciemnookiej Irze", „Smutnej Eli", „Dzikiej Cygance", „Lusi" i „Samotnej Oleńce". „Słodka Maruszko", znamy się już od dawna, prawda?"

„WSZYSTKO MNIE CIESZY I WYDAJE MI SIĘ NAJCUDOWNIEJSZĄ PIEŚNIĄ"...

„Romantyczny Śpiewak". Z powodu braku miejsca nie mogłam zamieścić prędzej listu Pana, jak dopiero dzisiaj. Przypuszczam jednak, że sprawa korespondencji jest u Pana zawsze aktualna, dlatego z całym spokojem oddaję słowa Pana do przedruku:

„Wszystko mnie cieszy i wydaje mi się najcudowniejszą pieśnią. Pięknie zbliżającej się wiosny niesie w mej duszy iskierki radości.

„Perpetuum mobile, ja kocham wszystkie kobiety" — to pieśń, którą śpiewam i pragnę, aby tony jej dotarły do cichych zakątków — mieszkań miłych Sympatyczek „Krainy".

Brak mi czegoś... W pięknie położonym miasteczku nad błękitnymi jeziorami, płynie me życie. Jestem miłym chłopcem, lubianym ogólnie, o marzycielskich oczach.

Ostatnio otrzymałem dużo kochanych listów, za które bardzo dziękuję, tak Sympatyczkom jak i Sympatykom „Krainy". Na każdy list oczywiście odpowiem, ale pragnę pozostać nadal tajemniczym dla wszystkich, a nawet dla pięknych Gąsawianek, które pracują usilnie nad odkryciem mego incognito. Czy im się to uda — nie wiem — może...

Miłe pozdrowienia przesyłam: „Smutnej Hrabiance", „Królewnie Mary", „Smutnej Sztubaczce", „Erosowi" i p. Z. K. z B.

Z utęsknieniem oczekuję na dalsze listy od Nieznanych. Adres mój: poste — restante, Gąsawa, pow. Żnin, dla „Romantycznego Śpiewaka".

Z POWODU ZBYT JEDNOSTAJNEGO TRYBU ŻYCIA...

„Sportowiec", młody właściciel nieruchomości z powodu zbyt jednostajnego trybu życia, pragnie nawiązać korespondencję z miłą Czytelniczką „Moich Powieści".

„OTRZYMAWSZY TYLE KOCHANYCH LISTÓW, ZROBIŁEM SIĘ WESELSZY"...

„Brunet z Pałuk". Jestem bardzo zadowolona z tego, że udało się Panu nawiązać korespondencję i w dodatku taką miłą i pogodną.

„Mimowoli zrobiłem się weselszy i podatniejszy do życia, otrzymawszy tyle kochanych listów" — pisze Pan. Jak to pięknie brzmi i jak zachęcająco dla tych, którzy nie nawiązali jeszcze kontaktu z „Krainą", pomimo że pragną tego!

Z listu „Bruneta z Pałuk":

„Serdeczny uścisk dłoni oraz pozdrowienia ślę p. Jadzi z P. G. — Toruń i p. „Ar". Może napisze do mnie jakaś czytelniczka z Gąsawy?"

A MOŻE?...

„Nr. 703". I ja żałuję, że nie mogę z Panem osobiście porozmawiać, gdyż przekonałabym może Pana, że — „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło".

A może uda mi się to urzeczywistnić w korespondencji, dlatego proszę Pana o podtrzymanie kontaktu.

Informacyj o p. L. z P. mogę Panu udzielić, ale bardzo szczupłych — otóż Pani ta, o ile mi wiadomo, wyszła już za mąż i niepowrotnie zerwała kontakt z „Krainą". Szkoda, prawda? Apel Pana zamieszczam i życzę Panu gorąco odszukania swego straconego szczęścia w kimś innym — szlachetnym i szczerym.

„Przyjmijcie i mnie do swego grona. Pragnę dzielić się z Wami moimi wrażeniami i mieć tę świadomość, że posiadam życzliwych przyjaciół.

Mam lat 28. Jestem podobno przystojny, w co jednak wątpię, brunet, wzrost — 175 cm. Zawód? Mniejsza oto. Jeżeli ktoś chce się dowiedzieć, niech napisze do mnie pod nr. 703.

Miłe pozdrowienia ślę, „Nell", „Lusieńce z Pucka" i „Rybakowi z Helu".

RADOSNY I POGODNY GOŚĆ W „KRAINIE"

„Stokrotka". Przyjmuję Panią chętnie do „Krainy", tym chętniej, bo wierzę, że wniesie Pani z sobą cudowny powiew — radość życia i szczerą pogodę.

Myślałby ktoś, po tym, co wyżej napisałam, że jest Pani jakąś wybranką dobrego losu, a tymczasem:

„Mam lat 20-cia. Jestem mieszkanką Ziemi Śląskiej, zawsze pogodną i uśmiechniętą, pomimo, że życie dało mi już poznać, co to ból. Mając lat 17-cie straciłam Ojca, osobę, którą kochałam ponad wszystko. Później, po dwóch latach szczęśliwego narzeczeństwa, zabrała mi nielitościwa śmierć drugą drogą osobę — narzeczonego. Odtąd pozostałam sama z moim smutkiem. Smutek ten jest jednak wewnętrzny, tylko mój. Nikt o nim nie wie, bo mam zawsze uśmiechniętą twarz i pogodne słowa dla mego otoczenia.

Od dzisiaj pragnę należeć do „Krainy" i otrzymywać od jej Sympatyczek i Sympatyków listy.

Przesyłam moc pozdrowień: „Białej Uajali", „Blance", „Marice", „Takiemu małemu Coś z loczkami", „Nell", „Sztubakowi spod lasu", „Rybakowi z Helu", „Nieznajomemu 220 — 380" i „Czarnemu Drypsowi"!

„ODPOWIEM ZARAZ I SZCZERZE!"

„Jedna z wielu" pisze: „Pragnęłabym nawiązać kontakt korespondencyjny. Posiadam złoty humor, chociaż nieraz jest mi źle, a to z tego powodu, że pod maską konwencjonalizmu ludzkiego, kryje się fałsz i obłuda. Nie przejmuję się jednak tym zbytnio, bo mam niezłomną nadzieję, że i dla mnie zabłysną słoneczne dni szczęścia.

Jestem średniego wzrostu, mam czarne włosy i duże, błękitne oczy, które dużo mówią.

Wszystkim Sympatyczkom przesyłam miłe pozdrowienia. Może napisze do mnie „Solidny Ślązak" i „Neptun II." Odpowiem zaraz i szczerze!"

NIE SPODZIEWAŁAM SIĘ...

„Gerold“. Nie spodziewałam się, że „Kraina“ ma w Panu takiego miłego zwolennika — jestem naprawdę uradowana!

List Pana oddaję do przedruku i przyrzekam solennie przekazywać Panu wszelkie listy, jakie dla Pana wpłyną. Kończę moją odpowiedź serdecznym uściskiem dłoni!

„Zasyłam moc pozdrowień dla całej „Krainy“ a zwłaszcza dla Gdańszczanek; specjalne zaś dla „Armidy“, „Słodkiej Danusi“ i „Steni z Ina“, którymi to Paniami zainteresowałem się bliżej, do tego stopnia, że proszę Je o kilka słów.

Jestem ciemnym blondynem, średniego wzrostu. Przebywam stale poza granicami domu, a tylko na czas wakacyj zjeżdżam pod rodzinny dach. Chętnie zajmuję się fotoamatorstwem, lubię muzykę, teatr i piękne panie.

FOTOGRAFIĘ ZAMIESZCZĘ WKRÓTCE!

„Młody Orzeł“. Sprawę wysyłki „Moich Powieści“ — załatwiłam. List zwróciłam również Panu.

Proszę pisać do mnie nadal tak często i szczerze, a będę zadowolona. Wesołych Świąt! Fotografię Pana zamieszczę wkrótce!

A teraz „post scriptum“ Pana:

„Przesyłam miłe pozdrowienia: „Słodkiej Danusi“, „Armidzie“ i „Banialuce“.

„Bohunowi“ dziękuję z całego serca za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Na razie nie mogę napisać do Pana, ale może Pan pierwszy odezwie się? Nawiążę również chętnie dysputę z „Czarnym Drypsem“.

„KTO CHCIAŁBY DOWIEDZIEĆ SIĘ CZEGOŚ O GÓRACH, NIECH NAPISZ“...

„Jana — góralka spod „Klimczoka“. Zdaję się, że jest Pani pierwszą góralką, która zapukała do drzwi „Krainy“. Stąd powodzenie w korespondencji zapewnione. Bardzo miły liścik Pani podaję do ogólnej wiadomości i ściskam Pani, chociaż na odległość, rękę.

„W „Moich Powieściach“ pociąga mnie najwięcej dział „Krainy Szczerości“. Czytam go zawsze z wielkim zainteresowaniem i pragnę w nim znaleźć to, czego próżno dotychczas szukałam, to jest szczerą, bratnią duszą.

Jak już mówi mój pseudonim jestem góralką. Kogo pociągają góry i kto chciałby się o nich czegoś dowiedzieć, niech napisze do mnie. Jestem szczupłą szatynką, bardzo wesołą i towarzyską osobą.

Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom z p. Zofią i Wujkiem Januszem na czele zasyłam pozdrowienia“.

Dziękujemy za nie, Droga „Jasno - góralko“ i czekamy na nowy list!

PROŚBĘ SPEŁNIAM Z MIŁĄ CHĘCIĄ

„Mikuś z Borów Tucholskich“. „Wielką prośbę Pani spełniam z miłą chęcią i przyjmuję Panią dzisiaj oficjalnie do naszej „Rodzinki“. Oprócz tego zamieszczam w całości list Pani:

„Pragnę zapewnić sobie miłą rozrywkę w postaci korespondencji, dlatego apeluję do Nieznanych o listy.

Jestem młodą Pomorzanką, szatynką o piwnych oczach, podobno bardzo wesołą..

Nawiążę chętnie korespondencję z „Spragnionym Sercem“, tylko — musi pierwszy do mnie napisać.

Miłe pozdrowienia łączę dla „Lili z Szwajcarii Kaszubskiej“ i „Żołnierzyka z Grodu Lecha“.

ZAINTERESOWAŁAM SIĘ „PRZEDWIOŚNIEM“

„Tartuk“. Wzruszył mnie list Pana! Już dawno nie otrzymałam tak serdecznych i dobrych życzeń, jak Pańskie. Dziękuję za nie gorąco i ściskam mocno dłoń memu oddanemu Przyjacielowi.

Część listu Pana, nie przeznaczoną dla mnie, przedrukowuję:

„Hallo! „Steniu z Ina“, „Czarnobrewka II“, „Tereniu spod Wrześni“ i „Banialuko“ — za miłe pozdrowienia bardzo Paniom dziękuję. Zainteresowałem się „Przedwiośniem“. Podoba mi się Jego słoneczna i radosna wiara w przyszłość. Czy „Przedwiośnie“ zechce skreślić do mnie kilka słów?“

„CZY PRZYPOMINASZ SOBIE?“...

„Ikar III“ przesyła:

„Czarnulko z Grudziądza“, czy przypominasz sobie „Bar“ na Jezuickiej w Bydgoszczy i tego niedostępnego mruka, który teraz śle Ci pozdrowienia?

„Jesionie“, przyjmij silny uścisk dłoni od twego przyjaciela.

„Blondynku z Pałuk“, jeżeli nie odezwiesz się, to przy spotkaniu będziesz k. o.“

DLACZEGO?

„Cyganka o smętnych oczach“ przesyła milutkie pozdrowienia „Wesołej Mariecie“ i zapytuje dlaczego milczy tak uporczywie „Banialuka“ i „Marylka z nad Warty“.

„BRAK MI ŻYCZLIWEJ DUSZY“...

„Zgodzisz“ apeluje: „Jestem 24-letnim blondynem. Mieszkam w stolicy Kujaw. Pomimo, że miasto moje jest o każdej porze roku ożywione, czuję się samotny. Brak mi jakiejś życzliwej duszy. Czy w „Krainie“ znajdzie się ktoś z moich marzeń?

Miłe ukłony zasyłam „Uwięzionej Księżniczce“ „Smutnej Kazieńce“ i osobne „Jadźce z Kujaw“.

CHODZI O NAWIĄZANIE KORESPONDENCJI

„Samotny Sfinks“ przesłał na moje ręce kilka następujących słów do Sympatyków „Krainy“.

„Młody Orle“ z Poznania może skreślisz kilka słów do tej, która mieszka tak blisko Ciebie?

„Solidny Ślązaku“ i „Romantyczny Spiewaku“ cenię Was za Waszą głęboką szczerość, a przede wszystkim za tak cenne zalety, które każdy z Was z osobna posiada. Spodziewam się od Panów miłego listu!

„Neptunie II.“, może i Pan skreśli do mnie kilka słów? Pisze Pan, że jest zapalonym myśliwym. Czy wolno wiedzieć na co Pan poluje? Czy na płeć piękną, czy na?... Proszę o odpowiedź!

Adres mój: poste — restante, Poznań, dla okazicielki dowodu osobistego Ser. A. 936 196.

WYSŁAŁAM

„Piciątko“. Istotnie, wierszyki Pana były za słabe do druku. Listy wysłałam. Łączę miłe pozdrowienia!

ŻYCIE JEST NIERAZ KOLOROWĄ BAJKĄ

P. H. K. T. Potrzebuje Pani ciepłych i dobrych słów, a więc przesyłam je Pani, tylko nie wiem, czy będą one wystarczająco ciepłe i dobre. O tym mi zresztą Pani doniesie, prawda?

Na podstawie nadesłanej nowelki wyrobiłam sobie zdanie, że jest Pani osobą bardzo uczuciową. Potrafi Pani czuć i cierpieć nie tylko za siebie, ale i za innych. Dlatego też nowelki Pani, tak samo i wierszyki, wypadają zawsze bardzo szczerze i naturalnie. Chociaż czasami nazbyt smutno. Np. nowelka Pani „Matka“ jest dobra w formie, ale za smutna. I tylko z tego powodu nie będziemy jej na razie drukowali...

Mój Boże! Zapomniałam zupełnie o dobrych słowach! Cóż więc Pani powiedzieć? Chyba to, że, owszem, życie jest nieraz kolorową bajką, zwłaszcza dla tych, którzy potrafią z szarej przędzy codziennych zdarzeń, wysnuć złociste nici wewnętrznej radości i zadowolenia. Nieraz staje się też bajką dla tych, którzy posiadają piękną duszę i patrzą na świat jasnymi oczyma. Pisząc te, myślę o Pani i wierzę, że będzie Pani kiedyś w życiu bardzo dobrze, bo takie typy kobiet, jak Pani, ujmują, wzruszają i pozostają na zawsze w pamięci. O ile Pani napotka kiedyś prawdziwego przyjaciela, pozostanie on Pani wiernym do końca. Tak samo mei przyjaźni, jeżeli ją będzie Pani podtrzymywała — nie utraci nigdy.

Żegnam Panią i proszę Panią: przyjąć moje słowa jako szczere refleksje, które wysunęły mi się spod pióra pod wpływem moich myśli i wyobrażeń o Pani.

A dobre słowa? Te prześlę Pani innym razem, gdy mi się takie same nasuną. Zgoda?

KILKA SŁÓW W SPRAWIE SERCOWEJ

„Hanusieńka I“. „Sprawa sercowa“ Pani nasunęła mi szereg refleksyj. Pod ich wpływem właśnie radzę Pani zerwać z owym panem, o którym Pani pisze. Zazdrość u mężczyzn jest nieraz nieuleczalna i łatwo może pociągnąć za sobą przykre następstwa. Zresztą nie kocha Pani swego adoratora, nie czuje do niego nic, prócz niechęci, więc nie wolno Pani myśleć o małżeństwie. Gniazda rodzinnego nie można budować na kruchych podstawach — zdanie to jest ogromnie ważne. Litość? Nie może Pani mówić o litości w stosunku do człowieka nielubianego i niekochanego, gdyż ta litość byłaby krzywdząca. I dla Pani i dla niego jedynym rozwiązaniem sprawy będzie rozstanie. Bez przykrych słów, bez złośliwości, ale pełne zrozumienia dwóch młodych dusz, które wiedzą, że nigdy nie złączy je harmonia silnego uczucia.

Tak ja myślę! Czy będzie to także odpowiadało Pani, przypuszczam, że wkrótce dowiem się?

Załączony list przesłałam adresatowi. Pozostanie mi więc jeszcze pozdrowić w imieniu Pani: „Nell“, „Blankę“, „Neptuna II“, „Augusta“, „Wiejskiego Chłopca“, „Kryształka“ i „Cisa“.

LIST NIE ZOSTAŁ WYSŁANY!

„Młody Orzeł“. List, o który Pan pyta, nie został jeszcze wysłany. Zwracam go Panu, gdyż przypuszczam, że adres już nie nadejdzie.

Dziękuję Panu za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam.

Z MIŁĄ CHĘCIĄ!

„Dziewczyna z Południa“. Z miłą chęcią przekazuję pozdrowienia Pani, przeznaczone dla „Cyganki o smętnych oczach“ i „Piciątka“ i czekam na przyobiecany list.

Teczka Wujka Janusza

WIERSZE WYPADŁY SYMPATYCZNIE

„Ciemnooka Ira“. Jak na pierwsze utworki, wiersze Pani wypadły bardzo sympatycznie, jednakże, jak na literackie utwory — jeszcze słabo. Radzę Pani dużo pisać i czytać dużo poezyj, a na pewno utwory Pani zyskają na wartości.

Ślę Pani moc pozdrowień i proszę Panią o dalszą pamięć o mojej „Teczce“.

WIERSZYK MIŁY

„P. T. R. O.“ Z polecenia p. Zofii podaję Panu ocenę nadesłanego wierszyka i noweli: Otóż wierszyk wypadł miło, bardzo miło. Odłożyłem go do teczki i jak tylko zdobędziemy odpowiednią kliszę, dam go na okładkę. Nowela — „Sekretarz barona“ — za krótka, za mało rozwinięta, podana wprost kronikalnie. Proszę Pana uprzejmie o przeróbkę, a chętnie ją zamieszczę.

Przesyłam Panu jak najmilsze pozdrowienia, również w imieniu p. Zofii.

DO DRUKU NIE MOGĘ ZAKWALIFIKOWAĆ

P. G. Z. z W. W nowelach Pana jest tak zawiły styl, że trudno mi dopatrzeć się w nich jakichkolwiek myśli przewodnich. Do druku oczywiście nie mogę ich zakwalifikować. Wolę poczekać na następne rękopisy, według zapewnień Pana lepsze i ciekawsze.

Miłe pozdrowienia odwzajemniam szczerym uściskiem dłoni!

RADZIŁBYM NAPISAĆ NOWELKĘ

P. H. K. Ocenę wierszyków wydaję tylko w „Moich Powieściach“, nigdy zaś listownie.

Nadesłany przez Pana utworek jest ciekawy w ujęciu, ale słaby w budowie. Radziłbym Panu dzieje bohaterki wierszyka opowiedzieć w nowelce — sądzę, że udałoby się to Panu lepiej, niż w wierszu.

Łączę miłe pozdrowienia!

WIERSZYKI MIŁE I GŁADKIE, ALE...

„Fala“. Nadesłane wierszyki są miłe i gładkie ale ogromnie staroświeckie. Czuję, że nie podobałyby się Czytelnikom dlatego też je konfiskuję. Może nadeślemi Pani inne utwory — oryginalniejsze i ciekawsze.

Serdecznie Panią pozdrawiam!

WIERSZYK PÓJDZIE NA OKŁADKĘ!

„Maleńka Dzidzi“. Marto, wierszyk Twój jest śliczny — pójdzie na okładkę.

Tę wiadomość oraz silny uścisk dłoni przesyłam Ci dzisiaj. Na liściku odpowiem w następnym numerze.

Raj kobiet



Na wiosenne spacery najodpowiedniejszy jest kostium, dlatego cieszy się on u pań szczególną sympatią. Podane wyżej modele poinformują panie, jakie będą w bieżącym sezonie najmodniejsze fasony kostiumów wiosennych



Dwie bardzo piękne fryzury: wieczorowa i popołudniowa, zademonstrowana na ostatnim konkursie najmodniejszych fryzur w Paryżu

HIGIENA I ZDROWIE

Gorączka maltańska czyli choroba Banga

Jest to u nas rzadko właściwie rozpoznawana choroba, chociaż w rzeczywistości może wcale nierzadka.

Źródłem zarazy jest epidemiczna choroba bydła owiec kóz, polegająca na masowych poronieniach zakaźnych. Osoby stykające się bezpośrednio z chorymi zwierzętami lub bezpośrednio spożywające produkty chorych zwierząt: mleko, masło, śmietana i sery — są na udzielenie tej choroby narażone.

Jest to choroba długa i wycieńczająca przez wysoką falującą gorączkę mimo, że chorzy mają na ogół dobre samopoczucie. Typ gorączki przypomina tyfus, grypę, gruźlicę lub malarię i na konto tych chorób może być mylnie podsuwany.

Ponieważ tylko badanie krwi jedynie może ustalić na pewno istotną diagnozę, a to nie często jest stosowane, więc o pomyłki bardzo łatwo.

Nierozpoznana zaś właściwie choroba przedłuża się do kilku miesięcy, zdarzają się nawroty, które mogą doprowadzić do upadku czynności serca przez wycieńczające podskoki i opady ciepłoty, połączone z niezmiernymi osłabiającymi potami. Przypadek, który pragnę opisać, dotyczył p. N. obywatela ziemskiego, który nabył krowę na jarmarku z obory zarażonej, nie wiedząc nic o tym.

Po pewnym czasie krowa zachorowała i wówczas podczas choroby p. N. dotykał się chorego zwierzęcia, przy czym nie jest wyłączone, że odruchowo mógł wówczas wziąć papieros i włożyć go do ust. Żadnych produktów bowiem od chorej krowy nie spożywał. Po pewnym czasie zachorował i przypuszczano, że to jest grypa: gorączka, ból głowy, brak apetytu, depresja, biegunka.

Pod wpływem leczenia niektóre objawy przeszły, lecz przy doskonałym samopoczuciu (chory chodził) gorączka utrzymywała się skokami 40 st. — 39 st. wieczorem, a rano spadając do 37,5 — 37 st.

Zaczęto badać plwocinę na gruźlicę, a krew na tyfus, malarię, kiłę, — lecz z wynikami ujemnymi. I tak przeszły 3 całe miesiące, dopóki chory sam nie wpadł na źródło swej choroby, zapytując pewnego dnia lekarza, czy chora krowa — nie mogła go zarazić jakąś chorobą. Zbadana krew na pałeczkę Banga wykazała istotną diagnozę.

Leczenie wówczas naturalnie wkroczyło na właściwą drogę i zostało uwieńczone pomyślnym rezultatem polegając na zastrzykach szczepionki uodporniającej z surowicy rekonwalescentów.

W przypadku p. N. należy podkreślić, że jeszcze kilka osób stykało się bezpośrednio z chorą krową, lecz nikt — prócz niego nie zachorował, co wymownie świadczy o różnorodnej odporności indywidualnej organizmów ludzkich.

Choroba Banga panuje endemicznie (lokalnie) w Danii w oborach i jest tam dobrze znaną ludności.

Na Malcie, gdzie hodowla kóz jest szeroko uprawiana, ta sama choroba od chorych kóz przenosi się na ludność, która ją nazywa „gorączką maltańską".

Rozpoznanie wczesne choroby Banga, skraca jej przebieg, zapobiega wyniszczeniu organizmu, anemii krwi (giną czerwone ciałka krwi) i dlatego dobrze jest wiedzieć o istnieniu tej choroby, o źródle jej i o najbardziej charakterystycznych objawach, które powinny być wskazaniem do badania krwi na pałeczki Banga.

Mleko pochodzące z niepewnych źródeł naraża nas zawsze na niebezpieczeństwo; przy chorobie bangu mleko chorych krów przez 3 miesiące od skończenia choroby nie powinno być spożywane.

Dr. J. Śmiarowska.

Jak się łapie głosy ptaków i czworonogów

— Halo. Halo, Posłuchajcie strusia.

Takie hasło rzucił radiosłuchaczom speaker jednej z rozgłośni. Po raz pierwszy uczyniono doświadczenie transmisji z zoo, kontraktując mikrofon ze zwierzętami. Doświadczenie nie było łatwe, gdyż wiele zwierząt energicznie przeciwstawiło się wszelkim zakusom i nie chciało wydać dźwięku. Na przykład szakale zachowywały uporczywe milczenie i mimo energicznych zabiegów nie można było je nakłonić do najdrobniejszej choćby produkcji wokalnej. Natomiast lwy, tygrysy i pantery chętnie obdarzyły transmisję niemal patetycznym rykiem. I o dziwo. Osioł — ten zwykły szary, renomowanie uparty osioł, dał prawdziwie artystyczny koncert przynoszący zaszczyt jego płucom.

Do niektórych zwierząt trzeba było jednak podchodzić w sposób zupełnie specjalny. Na przykład słoniątko rozdrażniono odebraniem jedzenia. Osiągnęło to skutek doskonały i gruboskórne maleństwo poczęło trąbić groźnie i rozpaczliwie. Trąbieniu temu ku uciesze radioreporterów zawtórowały stare słonie.

Doświadczenie dowiodło, że np. krzyk strusia jest do złudzenia podobny do warkotu bębna, a głos pewnej odmiany małp afrykańskich, każdy profesor muzyki zakwalifikowałby jako sopran.

Poza transmisjami z ogrodów zoologicznych radiofonie organizują obecnie plenerowe transmisje z lasu. Ten typ reportażu przyjął się jak wiadomo i u nas i ostatnio podobną transmisję zorganizowało dwukrotnie Polskie Radio.

Jak wygląda taki reportaż? Samochód transmisyjny udaje się o zmierzchu do lasu. Wysiada z niego kilku ludzi dźwigających mikrofony i kable telefoniczne. Przy blasku elektrycznych latarek rozpoczyna się poszukiwanie ptasich gniazd. Jest cicho. Uważnie zawiesza się wśród gałęzi mikrofon, który prawie niewidzialny, czeka cierpliwie na świt, by pochwycić pierwsze ptasie głosy.

Tymczasem inni ludzie z innymi mikrofonami skradają się do krzaków z gąszczu, w których słychać trele słowika. Ptak śpiewa, zachłystuje się własnym śpiewem. Niemało trudu kosztuje jednak, by podejść do niego jak najbliżej, nie płosząc śpiewaka. Ale to jeszcze nie wszystko. Pozostaje teraz długa lekcja cierpliwości. Trzeba tkwić obecnie przy aucie transmisyjnym ze słuchawkami na uszach, aby gdy skrzydlaty śpiewak rozpocznie produkcję, włączyć natychmiast do nagrywania. Podczas samego śpiewu trzeba ustawicznie regulować modulację gdyż niestety ptaki nie mogą ani rusz pojąć ważności chwili, ani tego, że powinni śpiewać prosto do mikrofonu, a już w żadnym wypadku nie zmieniając co chwilę miejsca.

Za to później nagroda. Taśma stalowa uwięziła czyste głosy skrzydlatych piewców lasu.

Dziś zarówno plenerowe reportaże z pól, lasów i jezior, jak również transmisje zz oo znane są wszystkim niemal radiofoniom świata, m. in. i Polsce.

Występy radiowe fauny są ciekawe dla słuchaczy, ale oczywiście nawet ryku lwa, beku kozy lub krzyku sowy trudno słuchać codziennie. Inaczej przedstawia się sprawa z „ptakami śpiewającymi" na czele których stoi w Europie słowik. Technika nowoczesna, potrafi wprawdzie naśladować dość świetnie odgłosy ptaków, lecz daleka jest od możności podrabiania pełnej gamy śpiewu. Słowik posiada tak interesu-

jący muzycznie koloryt, taką niesłychaną różnorodność dźwięków, tonów i modulacji, że wszelkie naśladownictwo jest zupełnie niemożliwe.

I tu wchodzi na widownię mikrofon. Publiczność siedząca wygodnie w domu jest w stanie słuchać oryginalnej ptasiej produkcji.

Niezmiernie ciekawe dla radiosłuchaczy są koncerty ptaków egzotycznych. W normalnych warunkach wielu u nas nie słyszałoby ich z pewnością nigdy, a wiadomo, że niektóre odmiany ptaków tropikalnych potrafią śpiewać wprost fantastycznie.

Radio stara się wydrzeć tajemnicę przyrodzie i, w sposób najbardziej dla publiczności atrakcyjny, podać je radiosłuchaczom.

Świat i życie

Kraj, w którym meble porastają zielenią...

Aczkolwiek samoloty ułatwiają nam przebycie największych nawet przestrzeni, istnieje na świecie bardzo dużo zakątków, nietkniętych dotychczas stopą białego człowieka.

Niedawno wrócił z dwuletniej ekspedycji naukowej z Kamerunu brytyjskiego, zoolog angielski, Percy Sladen. — W związku z tym wygłosił on bardzo ciekawy odczyt o swych przeżyciach i spostrzeżeniach w egzotycznym tym kraju. Uczony angielski twierdzi z entuzjazmem, że Kamerun jest jednym z najpiękniejszych zakątków świata.

Pewnego razu zauważył Saden niezwykłe zjawisko. Technicy angielscy przeprowadzili nową linię telegraficzną, i w tym celu powbijano wzdłuż drogi szereg słupów. Po paru tygodniach ci sami ludzie, obchodząc swój posterunek, stwierdzili niesłychaną rzecz. Słupy elektryczne zdążyły... zapuścić przez krótki ten okres czasu korzenie i pokryć się bujnym liściem. Nie był to jednak wypadek sporadyczny. Znajomy zoologa, pragnąć mu zrobić niespodziankę, przysłał mu do namiotu w którym Sladen mieszkał chwilowo, bardzo ładne biurko. Uradowany Anglik ustawił je obok niklowego łóżka, po czym wybrał się z przyjaciółmi na parę tygodni w głąb kraju.

Po powrocie stwierdził niebywałą rzecz. Oto podczas jego nieobecności drewniane biurko, stojące na ziemi... również zapuściło korzenie i pokryło się całe zielenią. Wiedząc, że sceptyczni koledzy londyńscy nie uwierzą temu wszystkiemu, porobił Sladen szereg zdjęć, które pokazał zebranym na odczycie.

Również w dziedzinie fauny stwierdził on zjawisko, które wprawiło go w najwyższe zdumienie. Uczony angielski przywiózł ze sobą do Londynu jakieś dziwne gatunki żab, z których jedne posiadały krzaczaste brwi i olbrzymie szczęki, inne zaś posiadały tę właściwość, że dotknięte ręką terkotały cały dzień bez ustanku.

Cudowne motyle, o przepysznych barwach, olbrzymie, niewidziane nigdzie ćmy oraz ogromne mrówki bardzo tłuste i mięsiste stanowiły zaledwie małą cząstkę bogatych zbiorów Sladena. W Kamerunie białe mrówki są specjałem i podaje się je nie rzadko na stół wraz z innymi smakołykami. Z początku opowiada zoolog angielski, widok mrówek zajadanych z apetytem przez kolegów i znajomych przejmował go niesłychanym wstrętem. Z biegiem czasu przyzwyczaił się do potraw lokalnych i później dał się nawet namówić do skonsumowania porcji tej wyborowej zresztą przystawki...

Murzyni z Kamerunu angielskiego są bardzo łagodni i uprzejmi. Za szczyt kurtuazji uważają oni... dłubanie gościowi w prawem uchu. Sladen opowiada że pewnego razu wybrał się na zwiedzenie kraju. Pragnąc jednocześnie połączyć przyjemne z pożytecznym, zabrał ze sobą swoje aparaty, by poczynić zdjęcia oraz upolować bardziej egzotyczne gatunki ptaków do swej bogatej kolekcji.

Pierwszego dnia, nie znając dziwnych obyczajów, panujących wśród ludności tubylczej, nakazał po paru godzinach męczącego marszu oddać ciężkie skrzynie idącym luzem murzynom, pragnąc, by dźwigający je dotychczas nieco odpoczęli. Jakże wielkie jednak było jego zdumienie, gdy spostrzegł, że krajowiec jest z tego obrotu rzeczy wyraźnie... niezadowolony i poczytuje to sobie za afront.

Dopiero później dowiedział się Sladen, że skoro się pragnie mieszkańcowi Kamerunu sprawić specjalną przyjemność, należy go obarczać jakimś ciężarem do dźwigania. Jest to pewnego rodzaju zaufanie, jakie się pokłada w ludziach. Odbieranie ciężaru równa się jednocześnie brakowi wiary i zaufania. Stąd ów niezrozumiały dla Europejczyka zapał do pracy i dźwigania ciężkich pakunków.

Ze świata

Dziecko-olbrzym

Na zjeździe lekarzy w południowo-francuskim mieście Perpignan, profesor wydziału lekarskiego Uniwersytetu w Tuluzie, dr. Calvet, przedstawił referat o znajdującym się pod jego opieką lekarską dziecku-olbrzymie.

Pięcioletni ten chłopiec mierzy już metr 28 centymetrów wysokości, co odpowiada wzrostowi dziecka dwunastoletniego i waży 36 kg, głos przy tym tego chłopca przypomina raczej głos dorosłego człowieka, niż głos pięcioletniego dziecka.

Jak oświadcza dr. Calvet, przypadki tak nadmiernego wzrostu są bardzo rzadkie, w dziejach bowiem medycyny zanotowano ich tylko dwieście na całym świecie.

Z niezbadanych tajników duszy kobiecej

(Osnute na tle prawdziwego zdarzenia)

Opowiem dziś o cichej tragedii, które jest jedyną z niezapisanych kart księgi o życiu — o biednym sercu ludzkim, tęskniącym za promyczkiem miłowania...

Pozornie wypadek codzienny.

Oto poczmistrzyni Eberdorfu, miejscowości od Wiednia o godzinę położonej, została dnia pewnego aresztowana pod zarzutem sprzeniewierzenia dziesięciu tysięcy szylingów. Całą tę sumę oddała Karolina Schmahel niejakiemu Grünwaldowi, który umiał w szatańskie pęta uwikłać biedną kalekę. Bo była garbata, mała, chorowita i lat czterdzieści na tym padole żyjąc, daremnie śniła sen o miłości...

Aż raz na wołanie jej przyszła odpowiedź. Pisał jej, że jest samotny i tęskni do miłości, że powiedzie ją w życie jasne i los dobry. A ona odpisała mu szczerze, odsłoniła swą duszę zbolałą, wyznawała, że ona czterdziestoletnia kaleka — pierwszą czystą tęsknotą i miłością pokochała nieznajomego. A miłość ta stała się wielką i obłędną, kiedy nadeszła godzina spotkania.

Pokochała go całą potęgą serca, które daremnie ciepła szukało — pokochała go, jak tylko umie kochać kobieta, którą los upośledził fizycznie, na którą jeszcze żaden wzrok mężczyzny nie padł w cichej tęsknocie i pragnieniu.

Tak trwało kilka miesięcy...

Ów Grünwald, wybraniec jej serca, był w listach coraz czulszy. Coraz więcej prawił jej o miłości. Za tymi słowami tęsknił biedny garbusek.

Z mętów wielkomiejskich wywodził się Grünwald. Żył z częstej tęsknoty dusz niezdeprawowanych.

Pewnego dnia przyjechał do Ebersdorfu. Przyjęła go radością stęsknionego serca. Ale on był ponury, przygnębiony. Pełna troski spytała o przyczynę. Powiedział, że grozi mu ruina, o ile nie otrzyma trzech tysięcy szylingów. Podumała, posmutniała biedna kaleka. Ona by panu swego serca, życie oddała... Ale taka suma...

— Skąd wziąć?... jak ci pomóc?...

Szatański uśmiech rozlał się na jego twarzy.

— Skąd wziąć? Tak pyta poczmistrzyni, w której ręku zawsze dziesiątki tys. się znajduje?

I zaczął kusić szatańskim szeptem:

— Wyjm pieniądze z kasy... Oddam ci je wkrótce... Pomogę sobie i tobie...

...... Zaczęła się straszna walka wewnętrzna w duszy biednej, garbatej istoty. Ale głos namiętności, głos żądzy — zwyciężył. Uległa...

Po dwudziestu latach wiernej służby — sięgnęła po obce pieniądze. W tęsknocie za miłością — zbrudziła się kradzieżą.

Tak się zaczęło... Po tym zmieniło się to już w system. Stale przyjeżdżał Grünwald po pieniądze. Suma zdefraudowanych pieniędzy wzrastała. A on ciągle mówił o swojej wielkiej miłości i o tym, jak z tych pieniędzy zbudują sobie gniazdo rodzinne. Jak on to dojdzie w dniach najbliższych do majątku, ona pieniądze zwróci do kasy, porzuci służbę i zostanie jego żoną.

Aż raz jak grom spadła na nią wiadomość. Dowiedziała się, że ten dla którego stała się zbrodniarką, należy już do innej — że ma żonę. Ale umiał złoczyńca wyjść z sytuacji. Kiedy mu gorzkie czyniła wyrzuty, przyznał, że wprawdzie ma żonę, ale jej nienawidzi, że jest już w rozwodzie, że ją tylko kocha, i że mu do rychłego przeprowadzenia rozwodu, potrzebne są pieniądze. Sięgnęła znowu dłoń drżącą do kasy państwowej. I znowu dostał Grünwald od niej pieniądze. Po tym szatańskie sztuczki inną przybrały formę.

Dnia pewnego zjawiła się u biednej poczmistrzyni żona Grünwalda wraz z matką. Zaczęły jej czynić gorzkie wyrzuty za „uwiedzenie" męża i zażądały większej sumy, pod groźbą wyjawienia defraudacji, (o której były doskonale przez niego poinformowane). Przelękniona poczmistrzyni dała znowu pieniądze. Po tym zmieniło się już wszystko w system.

Biedny garbusek zbuntował się raz i powiedział, że pieniędzy nie da. Wtedy bito ją niemiłosiernie — żona i matka złoczyńcy groźbami i biciem, wymuszały pieniądze.

Zaś Grünwald mówił jej ciągle o swej miłości i nienawiści do żony, która przecież wiedziała o wszystkim i żądał dalszych pieniędzy na rozwód i na odprawę dla żony.

Zapatrzona w wymarzony dzień ślubu, kradła kaleka pieniądze z kasy państwowej dalej.

... Aż dnia pewnego...

Rewizja! Odkrycie! Ucieczka uwodziciela. Aresztowanie poczmistrzyni!

To co Grünwaldowie popełnili na biednym garbusku — to było więcej jak zbrodnia!

Bo tu mordował uwodziciel tęsknotę kochania — zabił wiarę cynizmem, wyrachowaniem...

Z jednej strony tęskni wydziedziczona do czystej miłości — z drugiej: pieniądze, grzech, zbrodnia...

.. A epilog?

On zaopatrzony w środki pieniężne, z żoną gdzie za granicę w schowku bezpiecznym.

A ona ze swoją ślepą miłością i oddaniem przeżyła hańbę więzienia, a po uwolnieniu czeka ją głód i poniewierka.

Tak się skończyło szczęście Karoliny Szmabel, która przez ogłoszenie gazetowe szukała kogoś, kto by, niepomny jej kalectwa, brzydoty i biedoty, powiódł ją w kraj szczęścia i miłowania.

... I w tej złudnej tęsknocie za fantomem szczęścia poświęciła wszystko.

... Może w celi więziennej myśli o tym, że i praca cicha mogłaby dać jej szczęście... Że byłoby jej lepiej, gdy po całodziennej pracy w wioskowej poczcie, wyszła wieczorem na wieś w pole z cichą, nienasyconą tęsknotą, która była piękna i wzniosła. Że czystym i jaśniejszym był jej sen o miłości aniżeli miłość rzeczywista, która ją z warsztatu długoletniej ofiarnej pracy — za szare mury więzienne powiodła.

Roman Hernicz.



Ranna toaleta...



Wspomnienie dni przedświątecznych...

Gdyby spojrzenia miały moc sztyletu, byliby wtedy oboje zginęli od nienawistnych spojrzeń Włoszki.

Drugą niezadowoloną w hotelu osobą była towarzyszka baronowej, Anastazja.

Podczas, gdy baronowa z sekretarzem urządzała wycieczki, ona została w domu i z garderobianą robiła plotki.

Próbowała też rozmawiać ze służbą hotelową, ale nie udawało jej się to, bo nie umiała po włosku.

Była więc w ciągłym rozdrażnieniu, ale złość jej nie zwróciła się przeciwko baronowej. Znała jej szerokie serce i wiedziała, że bez miłostek nie może żyć. Oburzało ją tylko to, że się wdaje z „kapcańskim" studentem — jak mówiła.

W dużej mierze wpływała także na jej niezadowolenie następująca sprawa: Poprzednicy Leona, książę Iffalwi, przed nim jakiś hrabia, a przedtem jeszcze jakiś lord angielski, uważali sobie za obowiązek, hojnymi datkami zyskiwać dla siebie przychylność Anastazji.

Leon nic nie miał i nic też nie dawał, ale co ją jeszcze bardziej gniewało, to to, że wcale nie zwracał na nią uwagi, tak, jakby w ogóle nie istniała.

Nienawidziła go więc z całej duszy i była jego śmiertelnym wrogiem. Ale że była chytra i wiedziała, że jej pani jest ślepo w Leonie zakochana, więc — śpiewała hymny pochwalne na jego cześć; jaki on ładny, przyjemny, jak strasznie kocha baronową, i czekała chwili, kiedy baronowa zacznie stygnąć.

Nie mówiła też nic o tym, że Leon jest żonaty, wiedziała bowiem, że wiadomość ta byłaby jeszcze przedwczesna i przeszłaby bez wrażenia.

— Gdy pani obojętniej będzie patrzeć na niego — myślała sobie — wtedy jej powiem, i jeżeli się nie oburzy na niego za to, że zdradzał żonę, to pogardzi nim za to, że nie miał odwagi przyznać się do prawdy.

W czasie, gdy Anastazja czyhała na zgubę Leona, on pędził dni w niezamąconej szczęśliwości.

Upajająca obecność kochanki tłumiła w nim głos sumienia, ale Nemezis czekała już na niego.

Lola z początku zażywała swego szczęścia rozkoszą młodej dziewczyny, która kocha po raz pierwszy. Zapomniała o wszystkich swoich dawniejszych kochankach i przysięgała Leonowi, że on jest jej pierwszą prawdziwą miłością.

Robiła różne zakochane głupstwa; jadała z nim sam na sam, oddalając Anastazję pod różnymi pozorami i dzieliła się z nim każdym kęsem i piła z jego szklanki.

Tak przeszło im trzy tygodnie, aż wreszcie straszliwa zmora, nudy, stanęła między nimi.

Brakło im już tematu do rozmowy. Leon wprawdzie karmił ją cytatami z różnych poezji, lecz ona nie słuchała ich już z takim nabożeństwem, jak z początku.

Uważała, że on teraz mniej namiętnie całuje niż dawniej, że na lewym policzku ma bardzo obrzydliwą plamę wątrobianą, a gdy pewnego razu zdradził się z ogromną nieświadomością stosunków panujących wśród wysokiej arystokracji, postanowiła oglądnąć się za kimś więcej do towarzystwa się nadającym.

Jadała z nim przy stole wspólnym, gdzie rzekomy sekretarz siedzieć musiał na końcu stołu przy Anastazji.

Stamtąd zauważył z gniewem, że ona nie odczuwa wcale rozłąki z nim, i w najlepsze bawi się ze swoimi sąsiadami, kokietuje ich, a w końcu zdobywa.

To był początek.

Potem baronowa zaczęła zapraszać znajomych sobie panów na herbatę do siebie i na wycieczkę gondolą.

Leon ujrzał nagle, że jego obecność staje się zbyteczną. Robił jej sceny z powodu szalonej zazdrości, ale ona zawsze wtedy uspakajała go, że to nic nie ma do rzeczy, że tamci służą jej tylko do rozrywki, a jego jedynie kocha.

Musiał więc udać, że się tym zadowala, bo nic nie mógł zmienić w swojej fatalnej sytuacji.

Zawsze po takiej scenie Vittorina cieszyła się w duchu sądząc, że za każdym razem, zajście takie zbliża do niej Leona.

Równocześnie Anastazja każde rozdrażnienie baronowej wyzyskiwała na to, żeby robić drobne, mało znaczące ale ujemnie uwagi o Leonie, zachowując sobie jednak tajemnicę o żonie Leona na sam koniec.

U baronowej bywał czasem między innymi dostojny Włoch, książę Teschini. Należał on do najwyższej arystokracji, ale był zubożały. Wyglądał jednak bardzo arystokratycznie z postawy i z rysów, jak gdyby z greckiego posągu. Ręce i nogi miał bardzo małe i zgrabne i mówiono, że godzinę dziennie potrzebuje na pielęgnowanie paznokci. Kokietował też swojemi rękoma często, czy to zgrabną dłonią żakrywając sobie oczy, czy gładząc czarną brodę, czy kładąc ją na piersi, kiedy o czymś zapewniał.

Naturalnie, że tym zwracał na siebie uwagę baronowej.

Zrazu zaczęła go porównywać z Leonem i porównanie jej zawsze wypadało na niekorzyść ostatniego. Męskość Waldaua wydawała się jej teraz rubasznością w porównaniu z delikatnym arystokratą.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Uzupełnianka

pod T. M.

W	a				
	w	a			
		w	a		
			w	a	
				w	a

1) Potwór wysysający krew.

2) Pseudonim z „Krainy szczerości"

3) Rzemieślnik (l. mn)

4) Mieszkaniec Jugosławii.

5) czas spęd ony na wesoło.

Domyślanka

K.o mi.. ś.. n.e z.., t... ż..e sz... śli..
I..c m. sp.... ną i d..eń n.. tę.... wy.

Odczytać znaną myśl A. Mickiewicza!

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku, 9 kwietnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 12 „Moich Powieści: Zadanie matematyczne: Chłopiec miał 7,35 zł i kupił 27 zeszytów. Rebusiki: 1. Zaloty 2. Przedmioty 3. Zawada.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Józef Bednarczyk — Biertułowy, Alfons Grześkowiak — Żerków, Magdalena Stróżykówna — Poznań, Edmund Fiałkowski — Mosina, Kazimierz Kryszkiewicz — Otwock, Balbina Frąckowiakówna — Gdynia, Roman Orłowicz — Krynica, W. Jaśkowska — Grabów, Ludwika Jastrzębska — Aleksandrów.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Magdalenie Stróżykównie z Poznania i Romanowi Orłowiczowi z Krynicy.

ADAM CZEKALSKI

Sen o zemście

3)

OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA

Po czym zapiwszy zgodę i podziękowawszy sobie wzajemnie, obaj panowie poszli zakomunikować końcowy rezultat narad obu stronom.

Od tego szczęśliwego dnia życie obojgu młodym ludziom wydawało się bajecznym snem, jakimś przewspaniałym wspaniałym archanielsko - szczęśliwym zaczarowanym rajem, w którym oboje błądzili jak urzeczeni.

Nie rozstawali się prawie całymi dniami ani na chwilę, wciąż przebywając razem i wciąż mając sobie coś nowego do powiedzenia. Najczęściej zaś opowiadali o tym, jak to urządza sobie gniazdko w Opsie i jak w nim szczęśliwi czuć się będą.

Bywały jednak takie chwile, że Jadwiga czuła się zmęczoną po odejściu Jana. Ta miłość, tak żywiołowa u niego, jak wulkan, tak ogromna i wszechogarniająca i wymagająca od niej, pewnej równowartości uczuć, wyczerpywały ją. Często też, gdy była samą, przychodziło jej na myśl, że gdyby tak zawsze być miało — ta miłość może jej się sprzykrzyć prędko. Ale wnet przychodziły inne myśli, które wskazywały, że to wszystko, co przeżywa dotąd, to jeszcze nie całkowita suma szczęścia, które dopiero przyjdzie po ślubie i że wtedy dopiero mogła będzie ocenić rzecz całą dokładnie.

Później, gdy już ustalono datę ślubu na koniec września 1754 roku, Jan musiał więcej przesiadywać w swojej Opsie, budując locum na bajkowy, zaczarowany raj szczęścia, a douce Hedwige odjechała z rodzicami z Brasławia do rodzinnych Ucian, skąd pan starosta opeski miał zabrać swoją boginię.

V.

W PAŁACYKU NAD JEZIOREM

Gody weselne w Ucianach u pana grafa Strutyńskiego trwały dni dziesięć. Lało się wino i miody, grzmiały wystrzały wiwatowe, ściskano się i obejmowano, krzyczano: „kochajmy się" i niejeden, patrząc na tę powszechną zgodę i miłość braterską między plenipotentami księcia kanclerza a socjuszami księcia Panie Kochanku, nabierał coraz pewniejszego przekonania, że ustrojony w welony i mirt pokój nastał na dobre między rozsierdzonymi najmożniejszymi rodami, w ramach których piętrzyły się waśnie drobniejszych plotek.

Po godach weselnych, których końca pan Ciechanowiecki czekał z żywą tęsknotą, zabrał pułkownik młodą i uroczą małżonkę i nie czekając na owe obiecane 150.000 złotych polskich, stargowane nawet w końcu przez teścia do 50.000 złotych — pomknął do swojej Opsy. Zakochany na śmierć starosta opeski, niewiele dbał o niedotrzymane słowo grafa Strutyńskiego. Cóż znaczyły w ogóle pieniądze wobec tego skarbu, który uwoził z sobą.



Tak w sportach, jak i w gimnastyce, Ameryka wykazuje wielką pomysłowość. Oto miłe zdjęcie przedstawiające piękny skok i urocze uśmiechy dziewcząt na plaży.

Opsa leży o trzy mile od Brasławia, a pałacyk starościński wznosi się na wzgórku nad sennym jeziorem. W pałacyku tym młody starosta usłał prześliczne gniazdko swojej ukochanej. — Był to pałacyk niewielki, ale czarujący. Wszystkie komnaty wybite atłasami i kobiercami, aby w nich było do twarzy jego księżniczce z bajki.

Rozpoczęli życie we dwoje, jak życie dwojga pierwszych rodziców w raju. Popłynęły dni, jak zwiewne zjawy, niby perły najczystszej wody, nanizane na sznurek roku. Cała krasa cudnego szczęścia rozpostarła się przed nimi wspaniałym kobiercem, po którym oni oboje stąpali ręka w rękę i prawili o swym szczęściu i wiedli najcudniejsze rozhowory jakie szeptały im dusze.

— Gdybym ciebie stracił — mawiał nieraz pan Jan — życie bym stracił, bo cóż mi po życiu bez ciebie?

— Ah, nie mów tak — bo i ja nie chcę stracić ciebie. Należymy do siebie, jak dwie połowy całości. Obie razem żyją, a gdy je się rozłączy — muszą umrzeć.

Pan Jan Ciechanowiecki przestał teraz istnieć dla wszystkich, poza małżonką. Nie opuszczał nigdy swojego pałacyku, przeglądającego się w sennych wodach jeziora, otulonego w zagraniczne krzewy bukszpanu i nardu, ale jak urzeczony, potulny, śmiertelnie wciąż zakochany — przeglądał się w oczach swojej małżonki, w fascynujących, powłóczystych, ciemno - piwnych oczach.

Lecz takie zamknięcie się w własnym pałacyku nad jeziorem, tylko we dwoje, zniknięcie z areny życia publicznego męża, który był filarem frakcji możnowładcy Panie Kochanku — nie mogło ujść niespostrzeżenie. Uwelonowany i umirtowany pokój międzyfrakcyjny zaczynał się psuć na dobre i obie strony poczęły na gwałt ściągać co najtęższych swoich ludzi na pomoc. Stało się zatem tak, że książę Karol Panie Kochanku przypomniał sobie swojego plenipotenta, ukrywającego się zazdrośnie ze swym skarbem w pałacyku opeskim nad drzemiącym jeziorem. Przysłał raz i drugi oględne wezwanie staroście, lecz ten, śmiertelnie wciąż zakochany, a nie chcąc odrywać się od swego szczęścia — odkładał przybycie z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, zwlekał, wynajdywał coraz to nowe przeszkody i wciąż trwał i trwał w swoim pałacyku wśród bukszpanów i nardów.

A żonie mawiał nieraz:

— Książe pan znów przysłał wezwanie, ale czyż mam siłę odjechać stąd, gdzie całe moje życie i całe moje szczęście zostaje? Ah, gdyby mnie tak zostawiono w spokoju i nie napastowano więcej.

— Mój drogi — odpowiadała żona — nie możesz przecie wiecznie siedzieć przy mnie, gdyż obowiązki obywatelskie nad miłość i nad szczęście własne przekładać trzeba .

— Słusznie, słusznie, mój ty aniele cudny, ale cóż począć, gdy natura ludzka jest ułomna, a jam wszak tylko człowiekiem... Poza tym... wiele spraw gospodarczych nie może się beze mnie chwilowo obejść, zatem do czasu wyjazd mój muszę odłożyć. Tymczasem może tam zastąpić mnie ktoś inny, choćby brat Michał.

Nie mogła pani starościna nalegać na małżonka, by go nie urazić, ale z całej duszy pragnęła, aby w końcu odjechał, choćby na czas najkrótszy, bo już ta ciągła jego obecność, ta jego śmiertelna wprost miłość, chorobliwa zazdrość, nadwrażliwa czułość, podobna do satyryzmu — męczyły ją ogromnie. Pragnęła znowu spróbować jak smakuje wolność, choćby tylko wolność czasowa. Chciała znowu być panią siebie i panią swych myśli, uczuć, czasu — wszystkiego. A oprócz tego, po paru miesiącach szczęścia i wspólnego w rozkosznym pałacyku pożycia, przekonała się madame Hedwige, że miłość i małżeństwo z panem starostą opeskim nie dały jej najwyższej sumy szczęścia. Coraz częściej nachodziły na nią pragnienia wyrwania się stąd, popłynięcia na szeroki świat salonów i balów i coraz częściej myślała o tym, że jednak życie we dwoje, choćby z człowiekiem, który do szaleństwa kocha — jest jednak nudnym życiem. Pragnęła innych wrażeń, z innymi mężczyznami, aby może doszukać się gdzie dna owego najwyższego szczęścia, najwyższej rozkoszy.

Książe Panie Kochanku, nie mogąc się doczekać swojego plenipotenta, zawitał pewnego razu do Wiłkomierza i stąd wysłał do starosty opeskiego list odręczny, wzywający go do przybycia. Tym razem nie można już było wykręcić się sianem bez narażenia się groźnemu możnowładcy. Począł się więc pan Jan zabierać do odjazdu z żalem serdecznym i wzdychaniem. Ale na to nie było już rady. Żalił się też na swoje

tęsknoty uroczej pani małżonce, ale ta wydrwiła je jeno, mówiąc:

— Mon cher, nie bądźcie dzieckiem, które opuszcza matkę. W co ty się zmieniasz? Starosta opeski, pułkownik huzarski pułku króla Imci, mąż sławny i głośny na całą Litwę, znany w Koronie — rozrzewnia się jak dziecię. Łzy i westchnienia przystoją raczej dziecku i niewieście, lecz nie mężowi.

Pan Jan przyznał w zupełności rację małżonce, ale nie mógł pozbyć się ciężkości i tęsknoty wzdychań. W końcu przecież przemógł się, pożegnał żonę, wskoczył do karabonu i pojechał do Wiłkomierza.

Pani Jadwiga długo patrzyła za nim z okna, a gdy jej w końcu zniknął na zakręcie drogi — odetchnęła z ulgą. W godzinę później, kazawszy służbie spakować manatki i podać konie, postanowiła wybrać się do Brasławia, gdzie bawili jej rodzice. Lecz w momencie, gdy już miała wsiadać do karocy — rozległ się turkot kół na drodze i przed ganek pałacyku zajechał piękny skarbniczek, zaprzężony w czwórkę wspaniałych siwaszów. Z wolantu wyskoczył elegant w stroju francuskim, śpiesząc powitać panią starościnę dobrodziejkę, przyglądającą mu się z zainteresowaniem z ganku.

Był to pan Stanisław Rudomina Dusiatycki, dworzanin króla Imci, dobrze znajomy hrabiance Jadwidze z dawniejszych czasów. Oczywiście, o podróży do Brasławia nie mogło już być mowy.

— Skądże bogi prowadzą waćpana? — spytała pani starościna, prowadząc gościa do komnat.

— Ze świata i w świat — odrzekł pan Stanisław. — Ale waszej miłości powiem pod sekretem, że król jegomość zachorzał mocno i byłem posłany aż w te dalekie strony po sławnego medyka Kleudiusza Fereta.

— A gdzież go waść masz?

— Już w drodze. A jam umyślił wskoczyć do Opsy, aby panu staroście pozdrowienia i pismo od JW. generała Ciechanowieckiego oddać... Ale gdzież to pan starosta?

— Wyjechał przed dwoma godzinami do Wiłkomierza i pewnie nie prędko wróci.

Pan Stanisław Rudomina Dusiatycki, dworzanin króla jegomości Augusta III, zwanego Mocnym, pochodził ze starożytnego senatorskiego rodu, choć teraz podupadłego nieco — i madame Hedwige wiedziała o tym.

— Szkoda — odrzekł pan Stanisław.

— Mógłbyś przecież waszmość poczekać na pana starostę opeskiego, a tak owo czekanie i mnie i waszmości nie wydałoby się tak przykrym.

— Czy wasza miłość raczysz zezwolić mi na to?

— Nie tylko zezwalam, ale i proszę.

Hoży dworzanin królewski, podobnie jak pan Ciechanowiecki, spojrzał w oczy pięknej starościnie i przejrzał się w tych fascynujących, głębokich jak tonie morza oczach.

— Zostanę z ochotą — odrzekł — bo rozumiem, że pozbawienie się choćby tylko najkrótszej chwili towarzystwa tak nieziemskiego zjawiska, jak pani.




madame, byłoby już nie tylko błędem, ale i grzechem nie do przebaczenia.

— Panie!...

— Madame!...

Dworzanin złożył rycerski ukłon i znowu spojrzał w cudne oczy rusałki z nad drzemiącego jeziora opeskiego.

Pani zadzwoniła i poleciła przygotować gościowi pokój i wszystko co należy.

— Niechże się waćpan rozgości, mon cher, wypocznie nieco, a potem przyjdzie tutaj, by ze mną pogawędzić, opowiedzieć o życiu dworskim, o modach i ploteczkach dworskich.

— Z rozkoszą zabawię waszą miłość.

— Zatem — adieu.

— Adieu, madame.

VI.

TEN TRZECI

Pan Rudomina Dusiatycki nie darmo był dworzaninem najbardziej rozpasanego z królów polskich, aby nie być wykształconym w sztuce zdobywania serc niewieścich. Nie minęła godzina ich wspólnej rozmowy, a pan Stanisław wiedział już, jaką słabą stronę posiada pani starościna opeska i gdzie leży jej pięta achillesowa.

Zaczął tedy roztaczać przed znudzoną samotnym pobytem we dwoje w pałacyku z bajki damą wspaniałości życia dworskiego, opowiadał historie miłosne króla, panów i dworzan co znaczniejszych, opisywał rozkoszne owocu zakazanego i w końcu nie potrzebował się nadzwyczajnie wysilać, aby porwać ją opowiadaniem i pociągnąć za sobą w ów wielki świat.

Z początku w pierwszych dniach swojego pobytu w Opsie, stosunki hożego dworzanina z madame Hedwige polegały jedynie na rozmowach o wszystkim, cokolwiek tyczyło się życia dworu i jego spraw, później, czując, że grunt z lekka już przygotowany, żwawy dworzanin ośmielił się na mocniejszy, gorętszy uścisk dłoni, złożenia na niej pocałunku, tak samo dobrze, jakby to czynił słowami. A pani starościna nie broniła mu niczego, na wszystko zezwalała, gdyż była zbyt z natury leniwą, aby się bronić przed tym, co ku niej szło, zadawalając jej próżność. A próżną była madame Hedwige nad miarę.

Niby to oczekując na powrót pana starosty opeskiego, hoży dworzanin królewski nie tracił po próżnicy czasu, a że był w sztuce uwodzenia biegłym szermierzem, po tygodniu skradł pani starościnie, za jej milczącą zgodą — pierwszy pocałunek. Ona doznała nader żywego uczucia rozkoszy i po raz pierwszy mogła ocenić różnicę pocałunku legalnego, uświęconego i uznanego przez prawo i ludzi z owocem zakazanym, o wiele zwykle rozkoszniejszym.

Gdy pan Stanisław dotknął wargami jej maleńkich ust, doznała ciepła bezmiernego, które niby ogniem wypełniło jej krew. Więc przygarnęła się do niego słodko i mocno, szepcząc między jednym a drugim pocałunkiem czułe słówka francuskie:

— Tu es á moi...

— Je suis á toi — odpowiedział dworzanin.

— Je ne te lache plus...

— Je t'aime...

— Czemu nie znałam cię dawniej tak, jak dzisiaj cię znam — skarżyła się piękna pani.

— Nie wiem, ale myślę, że chyba dlatego, aby rozkosz z naszego odnalezienia się teraz była pełniejsza.

Od tego dnia nastały dla pani staróściny opeskiej chwile rozkoszy najwyższej, w której tonęła bez pamięci, a jeśli wspomniała czasem męża, to tylko jako przykry sen. O ileż wykwintniejszym wydawał jej się pan Rudomina od męża, o ileż subtelniejszym w swoich uczuciach. Gdy czuła się zmęczona, albowiem i miłość męczy tak samo, jak każda inna funkcja, nakazywała mu odejść i dworzanin oddalał się bez słowa. A przy tym nie robił z miłości swojej i z obowiązków z nią związanych uroczystego misterium, jak to był zwykł czynić mąż, zabierający się do każdego z nich z namaszczeniem, zdaniem pięknej pani, godnym lepszej sprawy. I to ją najbardziej gniewało. A ileż to trudów kosztowało ją pozbycie go się w chwilach, w których pragnęła zostać sama ze swymi myślami. Pan Jan ociągał się zwykle, odkładał wciąż odejście, bo dla niego każda chwila bez jej widoku, była męką.

Dla żony ubierał się po francusku i w rozmowach czułych, w rozmowach sam na sam ze swoim bóstwem, używał mowy francuskiej, spełniał każde jej życzenie, niemal myśli odgadywał, kwiaty jej pod stopy słał, lecz pięknej pani wszystko to nie zadawalało, przeciwnie — nudziło ją.

Jakżeż inaczej było teraz.

Od czasu zamieszkania z mężem w pałacyku nad drzemiącym jeziorem, nigdy nie zabawiała się muzyką, chociaż starosta nieraz o to ją prosił. Teraz grywała panu Rudominie Dusiatyckiemu, różne pieśni i melodie, a on stojąc przy niej, podziwiał mistrzostwo gry i po każdym niemal akordzie całował jej karczek pięknie toczony, obnażone ramiona, głęboko odsłonięte, ję-

dne, zaróżowione piersi i wszystko, co tylko całować mógł.

Wtedy muzyka milkła i słychać było tylko przyśpieszone oddechy, miłosne szepty i ciche odgłosy pocałunków.

A tymczasem pan Ciechanowiecki, nieświadom niczego — siedział w Wilkomierzu przy boku księcia Panie Kochanku i palce gryzł z bezsilności. Gdy wyjechał z domu, drogi były jeszcze dobre, bo mrozami ściągnięte — teraz przyszły ciepłe tchnienia od stepów ukraińnych i nastała odwilż, która uczyniła miejscami drogi nie do przebycia.

Pan Jan gryzł się i tęsknił nieomal śmiertelnie. Wychudł przez te dni rozłąki, stracił humor i tylko wypatrywał nieustannie w stronę swojej Opsy, czekając, by drogi stały się możliwe do podróży.

Dziwowali się temu stanowi pułkownika przyjaciele, dziwował się sam książę Panie Kochanku, a wszyscy współczuli mu i pragnąc rozgonić jego ponury nastrój i czarny humor, zapraszali go to tu, to tam na uczty i biesiady.

Pito więc na umór i ucztowano, aż się cały Wiłkomierz trząsł i huczał. Bo też tam, gdzie książę Karol się zjawiał, nie mogło być inaczej. Książę pan lubił huczne i gwarne biesiady, lubił otaczać się tłumami przyjaciół, klientów, komiltonów i adherentów, których włóczył wszędzie za sobą karmiąc i pojąc.

W końcu przyszły przecie jeszcze cieplejsze podmuchy, które stężyły rozmokłe drogi i pan pułkownik, padłszy do nóg księciu panu, prosił o zezwolenie na odjazd do lubej małżonki.

— Tak ci się to już uprzykrzyła moja kompania, panie kochanku? — spytał książę.

— O, uchowaj Boże! — zawołał pan starosta. — Gdyby mi okoliczności pozwalały, pragnąłbym zawsze być z waszą książęcą mością, na usługi i rozkazy. Ale cóż począć, gdy człek jest niewolnikiem swoich obowiązków.

Książę uśmiechnął się wesoło, bo pojmował, jakie to słodkie obowiązki uczyniły z jego najwierniejszego plenipotenta niewolnika, a następnie rzekł:

— No, to już jedź, panie kochanku, bo obawiam się, że gdybyś dłużej pozostawał w rozłące, zmarniałbyś do szczętu. Ale pamiętaj, panie kochanku, by o nas, dobrych swoich przyjaciołach, nie zapominać.

Pan Jan objął kolana dobrego pana i obdarowany drogocennym pierścieniem, który książę z własnego palca zdjął, wskoczył na wóz i pognał do Opsy.

VI.

I ŚLEPI CZASEM WIDZĄ

Każdy, ktokolwiek chociaż raz w życiu kochał, wie, jakiego cudnego czucia doznajemy, kiedy przybywamy do ukochanej. Każda myśl, nawet najdrobniejsza, sprawia nam wtedy rozkosz, a rozważanie o chwili powitania, o chwili, w której dwoje ciepłych ramion obejmie nam szyję, a kochana głowa spocznie na naszej piersi — wypełniają w nas



Ślub córki burgrabiego słynnego zamku londyńskiego Tower odbył się z średniowieczną pompą. Na zdjęciu młoda para przechodzi pod szpalerem utworzonym z halabard strażników zamku.

wszystko: mózg i serce, krew i duszę.

Takich też uczuć doznawał pan Jan, pędząc ku Opsie bez wytchnienia, odpoczywając tylko tyle, aby koniom dać wytchnienie.

Wreszcie w oddali rozbłysła czysta i równa toń drzemiącego jeziora, a tuż nad nim pałacyk zaczarowany, ukryty wśród drzew, które zdążyły już puścić pierwsze listki.

Dzień był pogodny i nad miarę ciepły. Szare skowronki, niby srebrne dzwoneczki zawieszone w powietrzu, dzwoniły bez przerwy, kuropatwy nawoływały się wśród zielonej runi zbóż, a w zaroślach nad jeziorem odbywały się istne sejmy dzikich gęsi, kaczek i żurawi, które podążały w krainy północne, aby tam młode wywodzić.

Dokoła czuło się pełnię bujnego życia odżywającego znowu, jak co roku, jak od wieków, po letargu zimy.

Czwórka pułkownikowskich dereszów, choć zdrożona wielce daleką podróżą, poczuwszy dom, ruszyła teraz żwawiej i po kilkunastu minutach obłocony wolant zatrzymał się przed gankiem pałacyku.

Pan Jan wyskoczył z bryki i pośpieszył powitać panią małżonkę. Zastał ją w różowej komnacie z atłasu, leżącą niedbale na miękkich poduszkach, a obok, na małym taboreciku, znajomego sobie dworzanina królewskiego pana Rudominę.

Z konieczności powitanie musiało odbyć się dość powściągliwie, niemniej jednak było ono serdeczne ze strony pułkownika, który nie mógł ukryć tego, iż powrót do umiłowanej małżonki sprawia mu żywą radość.

Rudomina, pragnąc z miejsca wyjaśnić przyczynę swojej obecności tutaj podczas niebytności pana domu, oznajmił zaraz staroście, że bawił w tych stronach z polecenia króla jegomości, z czego korzystając pan generał, prosił go o doręczenie bratu pozdrowień i pisma. Nie zastawszy zaś starosty w domu, na prośbę pani starościny zatrzymał się, by nań poczekać.

Pan Jan nie znalazł w tym nic zgoła ani złego, ani dla swego szczęścia niebezpiecznego. Rudominę znał z dawniejszych czasów, niejedną szklanicę z nim wyciągnął i wiedział również o tym, iż wiele on tam na dworze królewskim może i waży.

Pan Stanisław, załatwiwszy swoją misję, uznał za właściwe oddalić się i zostawić małżonkom swobodę. Odszedł więc niezwłocznie do swojej komnaty, a gdy drzwi zamknęły się za nim, starosta przypadł do stóp żony.

— Jakże ogromnie się cieszę, że znowu jestem przy tobie, najmilsza — szeptał, garnąc się czule do jej cudnych rączek i obejmując kibić wiotką a prężącą się w namiętnym pożądaniu.

— Dlaczego tak długo byłeś nieobecny? — odezwała się kapryśnie piękna pani. — Odjechałeś na tak długo, zostawiając mnie tu samą na pastwę samotności i spleenu... Czyż to się godzi? — skarżyła się, przygarniając się do męża z taką samą czułością, z jaką jeszcze niedawno przygarniała się do Rudominy.

Pułkownik na skargę tę odpowiedział licznymi pocałunkami, zamykając nimi usta małżonki.

— Wierz mi, najmilsza, iż nie siedziałem tam z własnej woli — odpowiedział po chwili. — Czułem się tam jako w niewoli i dopiero kiedy mogłem wyruszyć w drogę do mojego szczęścia, opadły ze mnie okowy... A ty — jakże czułaś się tutaj sama?

— Gdyby nie pan Rudomina, który, jak gdyby z nieba mi spadł na pocieszenie, zapewne umarłabym była do twojego powrotu z nudów.

— Już więcej nie będziesz tęsknić i nie będziesz nudziła się samotna, albowiem gdy mi droga jakowa wypadnie — pojedziem razem, by się nigdy nie rozstawać.

Pani Jadwiga wydęła w grymasie usta, bynajmniej nie zachwycona podobną perspektywą. Ale nie rzekła nic, nie chcąc martwić małżonka.

Dzień ten, pierwszy po długim rozstaniu, spędzili małżonkowie razem, pławiąc się w rozkoszach jak w słońcu.

Nazajutrz pan Rudomina zamierzał opuścić Opsę, lecz zarówno pani, jak i starosta, który zresztą zawsze chciał tego, czego życzyła sobie żona, sprzeciwili się temu.

— Siedziałeś tu tyle dni, gdy mnie nie było, siedźże spokojnie nadal, gdym ja wrócił — rzekł mu starosta. — Dworskie frykasy nie uciekną ci tam, a tymczasem, po hałasie życia dworskiego, możesz u nas swobodnie wypocząć i wierzę, że źle ci tu nie powinno być. Ja wprawdzie, panie Stanisławie, towarzystwa nie będę ci mógł dotrzymać, bo to ma się siakie-takie obowiązki i prace, ale moja pani małżonka mile będzie widzieć twoje towarzystwo.

Rudomina dał się przekonać, pozostawał w gościnie w Opsie i naturalnie bynajmniej źle się nie czuł.

Istotnie, jak to zapowiedział z góry starosta, nie mógł mu on dotrzymywać stale towarzystwa, ale też dworzanin królewski nie bolał bynajmniej nad tym bardzo, przekładając rozkoszne sam na sam z piękną panią. C.d.n.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

12) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

— Nieprawdaż, dla mnie droga zamknięta do domu pani? — rzekł tonem przejmującego cierpienia.

W łagodnym głosie dziewczyny brzmiał ton beznadziejny. Maria odzyskała równowagę, podeszła do Ewy i macierzyńskim ruchem ujęła ją pod ramię.

— Moje biedne, biedne dziecko... na chwilę straciłam panowanie nad sobą... tak mnie to zaskoczyło. Dzięki Bogu, że przybyłam w samą porę. Nie, nie, teraz się nie dam odprawić z kwitem. Za żadną cenę nie zostawię tu pani samej. Musi pani ze mną pojechać. Bezwarunkowo.

Drżenie przebiegło postać dziewczyny.

— Pani jest taka dobra... ale proszę mnie nie męczyć... Ja naprawdę nie mogę pojechać do pani.

Maria otoczyła ją ramieniem.

— Musi pani pomóc. I proszę się niczego nie obawiać. Panno Ewo, Bernard nie będzie do nas przyjeżdżał, zanim mu pani pozwoli. Och, niech-że się pani uspokoi. Bernard był u nas, odsłonił nam swoją bolesną tajemnicę i błagał, byśmy pani stworzyli nowy dom rodzinny, który pani utraciła z jego powodu. Ewo, kochana panno Ewo, będzie pani u nas tak dobrze... Będziemy panią kochać jak własne dziecko, już ze względu na niego. On się tak strasznie trapi i niepokoi o panią. Musi mu pani przywrócić spokój duszy. Proszę niech mu pani nie utrudnia jeszcze ofiary. Dla niego ta rezygnacja z szczęścia jest cięższą niż dla pani. Mężczyźni nie umieją się wyrzekać. Panno Ewo, kochana, ja wiem, że pani nie chce uczynić go jeszcze bardziej nieszczęśliwym, a jedynym uspokojeniem będzie dla niego świadomość, że pani będzie przebywać pod naszym dachem. Wszak pani to zrobi dla niego, nieprawdaż?

Te dobrotliwe gorące słowa przejęły Ewę do głębi. Z niepowstrzymanym łkaniem rzuciła się w ramiona Marii. Po raz pierwszy od długiego czasu doznała pewnego rodzaju spokoju i ukojenia.

* *
*

W ciągu wakacyj letnich Herbig pojechał do Bettiny z obojgiem dzieci, zgodnie z danym jej przyrzeczeniem. W bezgranicznej wdzięczności raz po raz ściskała mu rękę, nie mogąc wydobyć słowa z nadmiaru wzruszenia. Następnie zamglone spojrzenie skierowała na chłopczyka, na którego życie targnęła się w owej najciemniejszej chwili swego życia.

Mały łobuz, który po ojcu odziedziczył jasne szczere oczy i jego pogodne usposobienie, przez chwilę przyglądał się nowej cioci w bezmiernym zdumieniu. Następnie zbliżył się, podał jej swoją jędrną opaloną rączkę i śmiejąc się wykrzyknął:

— Ciociu Bettino, jak ty zabawnie wyglądasz! Jeszcze nie widziałem takiego ogromnego czepka!

Bettina płacząc osunęła się na kolana, gorącymi pocałunkami okrywając rączkę chłopczyka. Przez chwilę przyglądał się jej całkiem zmieszany, następnie wyjął z jej rąk chusteczkę i niezdarnie począł jej ocierać łzy, tak samo robił jego ojciec za pierwszą swoją bytnością u Bettiny.

— Nie płacz, ciociu. Czy cię co boli? — pytał zmieszany. A mała jego siostrzyczka podbiegła również i delikatnymi paluszkami pieszczotliwie głaskała twarz Bettiny.

— Masz bubu? — szczebiotała. — Tatusiu, czemu ciocia tak płacze?

Fryc pochylił się nad łkającą i ujął ją za rękę.

— Bettino, opamiętaj się ze względu na dzieci — prosił, a zwróciwszy się do dzieci, dodał:

— Ciocia Bettina płacze z radości. Pamiętacie, że mamusia wasza także płakała raz tak strasznie, kiedy Helenka wyzdrowiała po szkarlatynie. Tak ogromnie się tym cieszyła, że musiała płakać.

— Tak, ja to pamiętam — rzekł chłopczyk, a ponieważ łzy ciotki straciły już dla niego urok, gdy się dowiedział, że to nie są nawet łzy prawdziwe, skoro wyciska je radość, a nie ból, więc odwrócił główkę i uważnie przyglądał się rycinom zdobiącym ściany rozmównicy. Helenka natomiast w dalszym ciągu tuliła się pieszczotliwie do „nowej cioci" i szczebiotała tak słodko, że Bettina poprzez łzy musiała się uśmiechać z tej rozkosznej paplaniny. Helenka była niezmiernie dumna, że ją rozweseliła, wiedziała przecie, że w domu ciocia Ewa, która także bywa nieraz bardzo smutna, nazywa ją „promyczkiem" i pozwala się jej pocieszać. Po chwili w cichej zazwyczaj rozmównicy sióstr rozbrzmiewały śmiechy i gwar, jakich tu chyba nigdy nie słyszano.

Drobne nóżki uganiały się po czyściutko wyszorowanej podłodze, nie oszczędzając sofki skórzanej, ani krzeseł okrytych pokrowcami.

Bettina z rozpromienioną twarzą przyglądała się ich zabawie. Było jej tak lekko i swobodnie na duszy. Od lat nie zaznała stanu takiego ukojenia i z głębokim wzruszeniem dziękowała bratu za tę radość.

— Bettino, wszak przyjedziesz do Hottenfeld na ślub Bernarda? — spytał Herbig, gdy dzieci przestały na chwilę biegać po dużej sali.

— Tak, będę na ślubie, ale wyjadę przed ucztą weselną — odrzekła.

— W takim razie będziemy się widzieć rychło. Nareszcie zobaczycie się znów z Marią.

— Tak, znów się zobaczymy... Ach, bracie, wyznaję, że boję się trochę tego spotkania. Czuję się wobec niej tak strasznie winną.

— O tym nie powinnaś już myśleć. Powiedziałem ci, że przeszłość została pogrzebana. Maria bardzo się tobą uraduje.

— Czy zabierzecie też dzieci na tę uroczystość?

— Nie, zostaną w domu pod opieką panny Ewy. Wszak ci pisałem, że przebywa u nas młoda osoba, z którą łączy nas serdeczna przyjaźń. Wspomniałem ci też, że Wendenburg oświadczył się o jej rękę, której musiała mu odmówić. Nie chce się wobec tego zetknąć z Wendenburgiem, więc nie może uczestniczyć w tej uroczystości. A my znów możemy jej powierzyć dzieci z zupełnym zaufaniem; nawet pod opieką Marii nie mogłyby być bezpieczniejsze. Zresztą uczta weselna odbędzie się w ścisłym kole najbliższych przyjaciół i krewnych.

— Czy Wendenburg istotnie zaraz po ślubie wybiera się w tę daleką podróż?

— Tak nam pisał Bernard.

— A ja się wciąż jeszcze nie mogę oswoić z tym wszystkim. Chwilami mam wrażenie, że to sen. Gdy pomyślę, jak łatwo i szybko syn mój doszedł do takiego stanowiska, uświadamiam sobie z drżeniem, jak byłam tchórzliwa i małostkowa. Kiedy się ożeniłeś z Marią, jak zmora dręcząca uczepiła mi się myśl, że Bernard będzie skazany na ciężką walkę o chleb codzienny. Ogarnęła mnie rozpacz bezgraniczna i ciemne moce wzięły mnie w posiadanie. A oto bez mojej pomocy zrobił tak świetną karierę. Szczęście sprzyja mu jak rzadko komu.

— Tak, od pierwszej chwili sprzymierzył się z nim dobry los. A ten związek z Gabrielą Wendenburg jest niejako uwieńczeniem jego ambicyj. Oby nadal zachował jasny sąd o życiu i jego sprawach, a działalność na tak odpowiedzialnym stanowisku da mu niewątpliwie dużo zadowolenia.

— Niech go Bóg ma w swojej pieczy. Jestem taka szczęśliwa szczęściem syna. Gorzką jest mi tylko myśl, że nic dla niego zrobić nie potrafiłam. Wszystko zawdzięcza tobie i własnym zdolnościom.

— Bettino, wcale nie masz racji. Dałaś mu swoją bezmierną miłość. Czy możesz sądzić, że ona nie wywarła wpływu na rozwój jego charakteru? Teraz los postawił go tam, gdzie jego dzielność i zdolności mogą wydać plon tysiąckrotny i utrwalić szczęście tylu ludzi od niego zależnych. Jestem przekonany, że Bernard podoła temu zadaniu i nada swemu życiu kierunek pożądany.

Dzieci znudzone poważną rozmową, starały się ściągnąć uwagę na siebie, co się im też udało. Bettina oprowadzała oboje wzdłuż ścian i wyjaśniała im znaczenie obrazów. Fryc słuchał półuchem, gdyż myśli jego bawiły przy ukochanym siostrzeńcu. Dobrze jest, że Bettina uważa Bernarda za bezwzględnie szczęśliwego — on jednak myślał z głęboką troską, że szczęście to jest jednak połowiczne, gdyż nie zostało uwieńczone obopólną miłością narzeczonych. Dopiero po bliższym poznaniu Ewy zrozumiał, ile Bernard utracił. Wątła dziecinna Gabi nie może mu być nigdy tak pełnowartościową towarzyszką życia, jaką mogła być Ewa.

* *
*

Minęło kilka miesięcy. Ewa znalazła w domu Herbigów prawdziwy dom rodzinny. Czuła się też tak szczęśliwą, jak tylko nią być mogła po ciężkich ciosach przebytych. Maria z macierzyńską miłością i dobrocią starała się uśmierzyć jej ból serdeczny. Pogodne usposobienie Herbiga udzielało się wszystkim domownikom i także Ewa odczuła na sobie ten wpływ dobroczynny, a dzieci przywiązały się do niej tak bardzo, że Maria nieraz mówiła jej żartem, iż staje się zazdrosną. Helenka, przejęta swoją godnością „promyczka“ nie pozwalała, by „kochana śliczna ciocia Ewa“ była smutna i robiła co mogła, by ją rozweselić, a Walterek uważał się za jej rycerza, co mu jednak nie przeszkadzało występować od czasu do czasu w roli niesfornego wisusa. Ale Ewa przy całej łagodności potrafiła go utrzymać w ryzach; najczęściej też dobrowolnie wracał skruszony pod jej władzę, by przy sposobności znów dać ujście swemu temperamentowi.

Otoczona atmosferą serdecznej sympatii, zajęta praca, której tu miała pod dostatkiem, i która dawała jej poczucie, że istotnie jest potrzebną, Ewa byłaby się ostatecznie pogodziła ze swym losem, biorąc od życia to, co w danych warunkach było dla niej dostępne. Nie każdy musi osiągnąć pełnię szczęścia, mawiała sobie, ilekroć w duszy jej budziła się tęsknota, trawiąca za tym, czego wyrzekła się dobrowolnie. Ale mimo tej dobrej woli pogodzenia się z losem, jaki przypadł jej w udziale, posępne cienie raz po raz przyćmiewały jej horyzont. Stałą jej troską była myśl o matce.

Po odbyciu trzechmiesięcznej kary więziennej wróciła do dawnego mieszkania. Pani Kruze przyjęła ją, gdyż przyrzekła to Ewie. Początkowo Szarlotta żyła w odosobnieniu, prawie nie opuszczając mieszkania, ale po pewnym czasie znów rozpoczęła poprzednie wesołe życie. Wendenburg wyznaczył jej dożywotnią rentę, wynoszącą trzysta marek miesięcznie, które wysyłał jej w dwóch ratach miesięcznie. W ten sposób nie otrzymywała nigdy ponad sto pięćdziesiąt marek od razu. Znając jej lekkomyślność, chciał ją w ten sposób zmusić do życia regularnego, odpowiadającego jej pozycji finansowej.

W pierwszych tygodniach po wydostaniu się z więzienia była też bardzo zadowolona, zwłaszcza że Ewa wyjeżdżając pozostawiła dla niej u pani Kruze blisko siedemset marek. Za tę kwotę zakupiła nowej bielizny, sukien i przeróżnych stroików. Ale w miarę możności wydawania pieniędzy, rosły też jej wymagania. Raz po raz wypisywała do Ewy długie listy, pełne wymówek i skarg. Rentę, wypłacaną jej przez Wendenburga, nazywała „jałmużną, zbyt wielką, by można przy niej umrzeć z głodu, zbyt małą, by żyć na pół przyzwoicie“. Miotała się na Wendenburga, dowodząc, że postąpił jak ostatni dusigrosz; gdyby jej przysyłał dwa razy więcej, jeszczeby tego nie odczuł przy swoich olbrzymich dochodach. Z tą marną pensją nie wie istotnie, jak powiązać koniec z końcem. Musi sobie odmawiać wszelkiej choćby najdrobniejszej rozrywki, bo z biedą starczy na najpierwsze potrzeby. A wszystkiemu winna Ewa. Gdyby była wyszła za Wendenburga, byłby zmuszony swojej teściowej zapewnić odpowiednie warunki bytu.

Wszystkie listy powtarzały w kółko to samo w najrozmaitszych odmianach i odcieniach. Ewa lękała się ich, za każdym razem doznawała wrażenia, jak gdyby jej wymierzono policzek.

Także inne troski przytłaczały jej duszę. Od ślubu Gabi, wuj Wendenburg jeździł po świecie, nie mogąc się zdecydować na powrót. Z tego wnosiła, że nie odzyskał równowagi po zawodzie, jaki go spotkał, a jakkolwiek nie poczuwała się względem niego do żadnej winy, głęboko bolała, że bezwiednie stała się przyczyną cierpienia dla swego szlachetnego opiekuna i dobroczyńcy. Zimę spędził w Kairo, odbywając wycieczki w głąb kraju. Następnie udał się do Indyj, a teraz z wiosną bawił we Włoszech. Nigdzie nie pozostawał dłużej — niepokój wewnętrzny gonił go z miejsca na miejsce. Z każdej miejscowości przysyłał jej widokówki z pozdrowieniem i krótkim przypiskiem w tonie serdecznym, na pozór spokojnym. Niemniej Ewa nie przestawała się trapić o niego. Wiedziała, że jeśli człowiek tak obowiązkowy i przywiązany do swojej działalności, nie wraca do niej, to widocznie stan jego ducha pozostawia wiele do życzenia.

Mimo wszystkich tych trosk tajemnych, wydawała się na pozór spokojną, a nawet pogodną. Niestrudzenie zajmowała się gospodarstwem i dziećmi, umożliwiając ukochanej „cioci arii“ swobodną pracę nad rysunkami. Wciąż jeszcze Fryc i Maria komponowali razem wzory i desenie dla fabryki, a materiały firmy Herbiga zdobyły w ostatnich latach rozgłos światowy.

Oboje ci szlachetni ludzie robili co było w ich mocy, by Ewie uczynić życie możliwie przyjemnym, a ona czuła to i znajdowała istotnie serdeczne ukojenie w atmosferze przywiązania i przyjaźni.

Nagle nadeszła z Hattenfelde wiadomość przykra. Gabi przeziębiła się mocno. W piękny dzień letni odbyła z Bernardem spacer dalszy przez las aż do hut. W drodze powrotnej przyłapała ich burza. Przemoczona do nitki, dobiegła do pawilonu i tu przeczekała burzę. Mokra odzież i szybki bieg spowodowały jednak przeziębienie, z którego rozwinęło się zapalenie płuc. Pojawiła się silna gorączka, a wobec wątłego organizmu Gabi, lekarze wyrażali pewne obawy.

Bernard od razu zawezwał matkę. Bettina uzyskała urlop i tego samego dnia przybyła do chorej.

Pielęgnowała synową z największym poświęceniem, dniem i nocą nie odstępując od łóżka. Z napięciem wszystkich sił walczyła z chorobą i rzeczywiście udało się jej wyrwać śmierci upatrzoną ofiarę. Gabi przetrzymała kryzys i gorączka trawiąca organizm zaczęła opadać.

Wszyscy, co z drżeniem i lękiem wyczekiwali chwili przełomowej, odetchnęli swobodniej. Ewa płakała z radości, otrzymawszy wiadomość upragnioną. Teraz dopiero uświadomiła sobie w całej pełni, jak silne i nierozerwalne węzły łączą ją z przybraną siostrą.

Wendenburga zawiadomiono natychmiast o chorobie Gabi. W międzyczasie zmienił jednak miejsce pobytu, a zanim doszedł go list fatalny, otrzymał już

drugi, donoszący o szczęśliwym przebyciu kryzysu i dość szybko postępującej rekonwalescencji.

Wobec tego znów odłożył powrót do Hattenfelde. Gabi jednak po pierwszych dniach polepszenia, mimo najtroskliwszej opieki Bettiny, nie mogła jakoś odzyskać sił. Bezsilna i apatyczna spoczywała na łóżku czy leżaku i tylko w obecności Bernarda twarzyczka jej się rozpromieniała, a oczy płonęły bezmierną miłością. Zaledwie się oddalił, przymykała je, twarz stawała się przezroczysto bladą, jakby lada chwila życie miało uciec z tej drobnej postaci. Bettina doświadczonym swym wzrokiem odgadła, że lekarze wcale nie są zadowoleni ze stanu młodej kobiety, która też wcale nie robiła wrażenia rekonwalescentki. Nareszcie obaj lekarze ordynujący zawiadomili Bernarda, że płuca Gabi są zajęte i że ze względu na wątły organizm musi bezzwłocznie wyjechać na południe, celem całkowitego odzyskania zdrowia. Nie powiedzieli wprawdzie, że nawet w razie wyjazdu nie mogą ręczyć za uzdrowienie Gabi, ale Bernard wyczuł ich powątpiewanie.

Serce mu się ściskało, gdy siedząc obok chorej pieścił jej maleńkie śnieżne rączęta. Tak bardzo się przywiązał do tej delikatnej kobietki, darzącej go ogromem miłości. Wzruszyła go tym przywiązaniem pełnym całkowitego oddania i wzbudziła odzew w jego sercu. Okazywał jej też największą tkliwość i serdeczność, a jakkolwiek nie zdołał przeboleć utraty Ewy, to niczym nie dał poznać Gabi, że zdolny jest do miłości płomienniejszej i że nie ona zajmuje w jego sercu najpierwsze miejsce. Jej wystarczało to serdeczne uczucie, z jakim się do niej odnosił i czuła się bezbrzeżnie szczęśliwą. Szalona gwałtowna miłość, jaką w nim budziła Ewa, byłaby ją raczej przeraziła i przytłoczyła swym ogromem.

Po spełnieniu koniecznych zajęć w hutach, wydawał dyspozycje swemu zastępcy, i całe dnie spędzał teraz przy łożu Gabi. Ale o wyjeździe z nią na stałe do Włoch nie można było myśleć. Lekarze oświadczyli, że o ile wyjazd ten ma być skuteczny, Gabi będzie musiała aż do przyszłej wiosny pozostać na południu. Na tak długi czas Bernard absolutnie nie mógł się oddalić, zwłaszcza pod nieobecność Wendenburga. Bettina oświadczyła gotowość towarzyszenia synowej i otrzymała też od przełożonej urlop nieograniczony. Bernard w najoględniejszej formie wytłumaczył Gabi, że już w najbliższych dniach musi z jego matką wyjechać na południe. Wiadomość ta szalenie rozdrażniła Gabi, sprowadzając na powrót szaloną gorączkę. Oświadczyła, że za nic w świecie nie rozłączy się z mężem i żądała, by ojca zawezwać do domu, bo wtedy Bernard będzie mógł z nią wyjechać. Nie chciała słyszeć o żadnym innym załatwieniu sprawy, nie godziła się, by ojciec przyjechał do niej zamiast Bernarda, którego obecność była w hutach nieodzowną. „Jeśli ze mną nie pojedziesz, umrę z tęsknoty“ — łkała. Ostatecznie musiano spełnić jej życzenie. Bernard przyrzekł wezwać ojca do powrotu, po czym niezwłocznie przyjedzie do niej. W zamian żądał, by wyjechała nie tracąc ani dnia. Nie mógł jej wyjawić powodu tego pośpiechu, nie mógł wyznać, że lekarze wszelką zwłokę uważali z niebezpieczeństwo.

Złożyło się, że wyjazd Gabi przypadł właśnie na pierwszą rocznicę jej zaręczyn. Bernard odprowadził żonę i matkę do Monachium, ulokował je najwygodniej w zamówionym przedziale pierwszej klasy i z ciężkim sercem wrócił do Hattenfelde. Bezustannie stała mu przed oczyma przezroczysta zapłakana twarzyczka Gabi. Po raz pierwszy zapomniał teraz o Ewie...

Wendenburg otrzymawszy wiadomość o rekonwalescencji Gabi, wyruszył z przypadkowo spotkanym znajomym do Grecji. Tam dopiero dosięgnął go list o pogorszeniu się jej stanu. A niebawem otrzymał też list Bernarda z prośbą, by wrócił do Hattenfelde, gdyż on musi wyjechać do Gabi. Obawia się bowiem, by rozłąka z nim, na którą zgodziła się tak niechętnie, nie wpłynęła ujemnie na jej stan.

Wyjechał tedy najbliższym pociągiem, a niepokój o córce zgłuszył w nim na razie wszystkie inne uczucia i kazał zapomnieć o własnych troskach.

Bernard przywitał go z gorączkowym niepokojem, wiedząc, jak bardzo Gabi trawi się w tęsknocie za nim. Wendenburg dowiedziawszy się szczegółów, sam też nalegał na pospiech. Już w parę godzin po przybyciu teścia, Bernard przedstawiwszy mu pokrótce stan interesów, wyjechał do Włoch.

Listy otrzymane od matki nie były wcale pocieszające. Gabi bardzo źle przebyła podróż, a stan jej raczej się pogorszył niż poprawił. Lekarz tamtejszy stwierdził groźne zajęcie płuc. Jakkolwiek jej ciężko przesłać synowi tak przykrą wiadomość, woli go przygotować, by się z nią oswoił i miną swą nie zdradził swych obaw przed Gabi. Cudotwórczy klimat południa uleczył już niejednego, więc i on nie ma powodu tracić nadziei. Niech tylko nie zwleka ze swym przyjazdem, gdyż jego nieobecność więcej szkodzi Gabrieli, niż może jej pomoc słońce i powietrze. Przed jego przybyciem nie można się też spodziewać polepszenia.

* *
*

W altanie ocienionej bujną zielenią na miękkim posłaniu leżała Gabi w chwili przybycia Bernarda.

Radość oczekiwania zabarwiła jej twarzyczkę i zapaliła blaski w oczach, co w pierwszej chwili pozwoliło mu się łudzić, że jednak wygląd jej jest bez porównania lepszy niż w Hattenfelde. Dopiero gdy minęło chwilowe podniecenie ujrzał z przerażeniem, jak strasznie zmizerniała i wychudła. Serce się w nim ściskało, gdy swym dziecinnym bezsilnym głosikiem raz po raz szeptała mu czułe słowa.

Nazajutrz po przyjeździe Bernard rozmówił się z lekarzem. Tonem najbardziej spokojnym, na jaki się mógł zdobyć, poprosił, by mu bez osłonek powiedział całą prawdę o stanie Gabi. I dowiedział się, na co go już przygotowała Bettina, że mało jest nadziei, by choroba dała się powstrzymać. Gruźlica odziedziczona po matce rozwija się szybko, a niesłychanie wątły organizm pacjentki jest za mało odporny, by ją przezwyciężyć.

Lekarz wypowiedział tę opinię w formie najoględniejszej, niemniej była dostatecznie wyraźna, by Bernardowi nie pozostawić żadnych złudzeń.

Następne tygodnie, kiedy ani na chwilę nie mógł się pozbyć dręczącej pewności, że katastrofa stała się nieuniknioną, wydały mu się wdzięcznością. Starał się zachować spokój i pogodę ze względu na Gabi, lecz w chwilach, kiedy nie czuł na sobie jej spojrzenia pełnego bezgranicznej miłości, stawał się pastwą nieopisanej udręki. Brak mu też było umiłowanej pracy, która byłaby mu ulżyła, dając chwilowe zapomnienie. Otrzymywał wprawdzie codziennie sprawozdania od zarządu hut, często omawiał też najważniejsze sprawy z teściem listownie czy telefonicznie, poza tym jednak całe niemal dnie spędzał przy łożu chorej.

Najczęściej leżała zadowolona, nawet szczęśliwa, pozwalając się rozpieszczać przez Bettinę i Bernarda.

Jednego dnia, gdy siedząc obok niej, delikatnie głaskał jej maleńkie przezroczyste rączki, rzekła z uśmiechem:

— Te szkaradne interesy! W domu jesteś całkiem pochłonięty przez nie, że ci wprost nie starczy czasu dla mnie. Może nawet wolę być chorą, bo mam cię nareszcie dla siebie.

Przesunął ręką po jej jasnych włosach.

— Maleństwo kochane, nie wolno tak bluźnić mojej pracy — to najlepsze w mojem życiu.

— A w mojem życiu najlepszą jest moja miłość dla ciebie.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 4 kwietnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna; 9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia; 12.03 Koncert poświęcony twórczości A. Stadlera; 14.00 Transmisja fragmentu biegu narciarskiego o nagrodę Polskiego Radia; 14.30 Koncert wileńskiej orkiestry salonowej; 15.30 Audycja dla wsi; 16.00 Muzyka (płyty); 17.00 Koncert symfoniczny; 19.00 „Mechanizm powieści sensacyjnej" — szkic literacki 19.20 Koncert rozrywkowy (płyty) 21.00 „Zaręczyny speakera" — skecz; 21.20 Recital fortepianowy Claudio Arrau; 22.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 5 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół, 12.03 Mała Orkiestra Polskiego Radia; 12.30 „Od warsztatu do warsztatu" — audycja poświęcona rzemiosłu szewskiemu; 15.15 Wiązanki i pieśni operetkowe (płyty); 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci; 16.30 Orkiestra mandolinistów; 17.20 Recital śpiewaczy Wiktors'a Stolts'a; 18.10 Przemówienie kierownika okręgowego urzędu W. F. i P. W. — Lublin 18.25 Muzyka (płyty); 19.00 Audycja żołnierska; 19.30 „Na morskiej fali" — lekka audycja; 20.15 Recital skrzypcowy Ignacego Weissenberga; 21.00 „August Wilkoński — kawaler krzyża naturalnego". wieczór literacki; 21.30 Chór Juranda; 22.00 Koncert symfoniczny w wyk. orkiestry P. R.; 23.00 Muzyka taneczna; 23.00 „Międzynarodowy Kongres Ociemniałych" — przemówienie w języku esperanckim

Wtorek, dnia 6 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół 12.03 „Weber i Bruch" (płyty); 15.15 Mała orkiestra P. R.; 16.30 „Perły koloratury Erny Sack" (płyty). 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich"; 17.35 Wiązanki melodyj (płyty); 17.50 „Warszawa w roku 1967" — monolog; 18.10 Przemówienie kierownika okręgowego urzędu W.F. i P.W. — Grodno; 19.00 Dyskutujmy: „Jednostka i grupy społeczne"; 19.20 „Rozlepiamy plakaty" — audycja muzyczna (ze Lwowa); 20.00 „Papa Offenbach" — felieton muzyczny; 20.15 Koncert symfoniczny (ze Lwowa) 22.00 „Poezja poza chronologią" — kwadrans poetycki; 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 7 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół. 12.03 Koncert orkiestry wojskowej; 15.15 Koncert rozrywkowy (płyty); 15.55 Skrzynka techniczna; 16.10 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci; 16.30 orkiestra salonowa; 17.00 „Dzieje kontrtorpedowca" — odczyt; 17.15 Polskie pieśni i utwory skrzypcowe: 17.50 „Walka z niepokojem" — „Rozmowa z przyjacielem"; 18.10 Przemówienie kierownika okręgowego urzędu W. F. i P.W. — Łódź; 19.20 Jan Brahms: Sonata f-moll op. 120; 19.45 Koncert rozrywkowy; 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Witolda Małcużyńskiego; 21.30 Ludwik Spohr: Nonet op. 31; 22.00 Mała orkiestra P. R.; 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 8 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych; 12.03 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego; 15.15 Koncert popularny (płyty); 16.20 „Kwiecień" — pogadanka; 16.35 Pieśni polskie w wyk. chóru męskiego „Hasło"; 17.15 Mikołaj Medtner: sonata G-dur op. 44; 18.10 Przemówienie kierownika okręgowego urzędu W.F. i P.W. — Kraków; 19.00 Premiera słuchowiska p. t. „Proces Ludwika XVI"; 19.45 Muzyka rozrywkowa; 20.15 Koncert poświęcony pamięci Emila Młynarskiego. 22.30 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 9 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół. 15.15 Lekki koncert popołudniowy; 16.30 Orkiestra reprezentacyjna K. P. W.; 17.00 „W jakiej szkole kształcić młodzież po ukończeniu gimnazjum" — odczyt; 17.15 Koncert solistów; 18.10 Przemówienie kierownika okręgowego urzędu W.F. i P.W. — Lwów; 18.15 Muzyka (płyty); 19.00 „Wypowiedzieli się — skecz Raorta; 19.20 „Z pieśnią po kraju"; 19.45 „Obój, rożek i fagot" — pogadanka; 20.05 „Maria" — opera w 3-ch aktach; 22.30 Muzyka taneczna (płyty).

Sobota, dnia 10 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół; 12.03 Zespół Stefana Rachonia; 15.15 Piosenki włoskie (płyty); 16.15 „Wesołe wspomnienia"; 17.00 Koncert solistów; 18.10 Przemówienie kierownika okręgowego urzędu W.F. i P.W. — Poznań; 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą; 19.30 „Polski Strauss" — Leopold Lewandowski; 21.00 „W polskim domu" — koncert; 22.00 „Wesoła Syrena" — „Rozmówki Zakopiańskie"; 22.40 Muzyka taneczna.

HUMOR

Bujda

Pani Marcinowa wybrała się pierwszy raz w życiu do zoologicznego ogrodu.

Po powrocie dzieli się wrażeniami z sąsiadką.

— Moja pani. Byłam w tym to ogrodzie zoologicznym!

— No i jak się pani podobało?

— E! zawracanie głowy. Przecież takich zwierząt wcale nie ma na świecie!

W cukierni na Wierzbowej

W nowej cukierni przy ulicy Wierzbowej wiszą tabliczki z napisem „Nie palić". Gość, który przyszedł po raz pierwszy, zwraca się do usługującej panienki:

— Łatwo napisać, że nie wolno palić. Czy naprawdę?

— Tak, proszę pana, nie wolno.

— A skąd tyle niedopałków?

— To po gościach, którzy się o to nie pytają.

Długa przerwa

Na lekcji historii. Nauczyciel spostrzega ucznia który z powodu choroby długo nie przychodził do szkoły.

— Już zdrów jesteś, Pałgaszewski? Od kiedy przestałeś chodzić do szkoły?

— Od bitwy pod Grunwaldem.

Pierwsze kroki

Wziąwszy na odwagę, pan Onufry Grzałek postanowił przełamać monopol handlarzów podwórzowych. Z workiem na plecach odwiedza mieszkania. Właśnie trafił do pana Mazurkiewicza:

— Może jest do sprzedania stara garderoba?

— Nie, nie ma.

— To może stare garnki?

— Też nie ma. Zresztą, moja żona wyszła.

— Ach tak! To może się znajdą puste butelki?

Najwyżej

— Wybieram się właśnie do pańskiego przyjaciela, adwokata. Przypuszczam, że za jedno pytanie nie będzie zaraz żądał honorarium?

— Ale gdzieżby to... najwyżej za odpowiedź.

Teatralna śpiączka

Dumas ojciec siedział raz na premierze swej sztuki w jednym z paryskich teatrów. Podczas antraktu podszedł do niego znajomy i Dumas począł mu opowiadać, że dnia poprzedniego był w tym samym teatrze na sztuce Soumeta.

— Jakaż ta sztuka? — pyta znajomy.

— Straszna! — odpowiada Dumas. — Ludzie nudzili się niemożliwie, sam widziałem jegomościa, który przez cały czas chrapał w najlepsze!

— Co pan mówi! — dziwi się znajomy. Ale niech pan spojrzy — i wskazał na gościa kiwającego się na krześle — ten zdaje się śpi i na pańskiej sztuce!

— To pan się grubo myli — odpalił Dumas bynajmniej tym niezmieszany. — To jest ten jegomość z wczorajszego przedstawienia!...

Szeroka zabawa

Paulinka wybrała się ze swą przyjaciółką na operę.

— Jakże bawiłyście się na operze? — pyta małżonek.

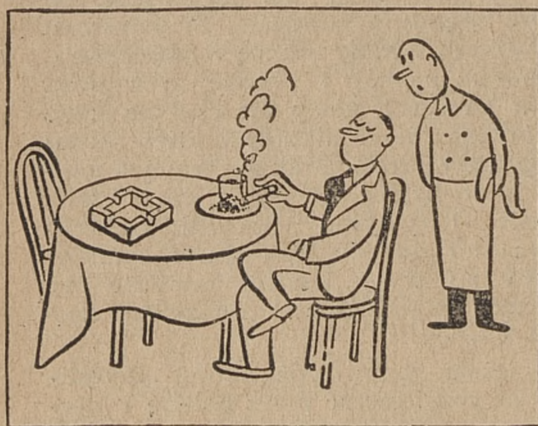
— Z początku doskonale!

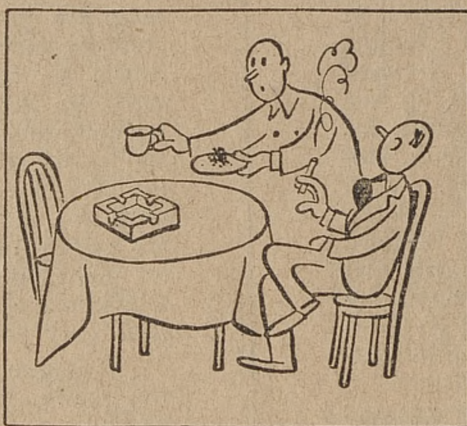
— A potem?

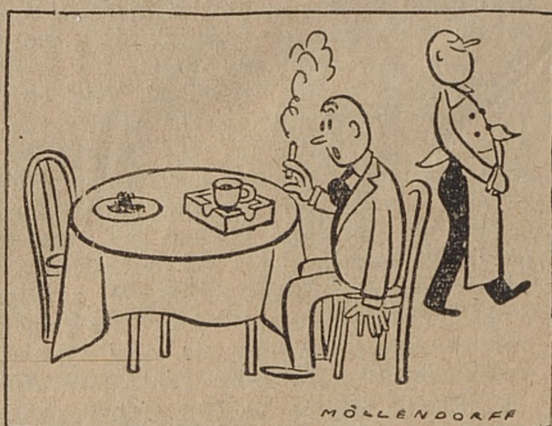
— Potem zaczęli sąsiedzi protestować!

Komunikat narciarski

W górach szata śnieżna wynosi średnio 80 centymetrów... sześciennych na kilometr kwadratowy.







Jak mądry kelner oduczył gościa używania spodeczka jako popielniczki...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie